Zeszyt 3. Lwów dnia 20. Stycznia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata kwartalnie 3 złr. = 6 mark. półrocznie 6 złr. = 12 mark.

Wychodzi dnia 1go, 10go i 20go każdego miesiąca.

W. Maniecki Wydawca i odpowiedz. za Redakcją we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i Inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

X.

(C. d.) Stanisław Wybicki był Polakiem — a więc idealistą.

Inni ludzie żyją nad Wisłą, inni nad Tamizą. U tych *biznes* wszystkiem, u tamtych *biznes* niczem — i dla tego to Anglicy światem dziś trzęsą, bo od stu lat pieniądz stał się jedyną sprężyną, która ludzkość porusza, gdy tymczasem Polacy zawieszeni między niebem a ziemią, naprożno złorzeczą potędze, którą cyfra przedstawia, boć samem złorzeczeniem i skargą niewieścią, nikt tej siły nie złamie!

Stanisław był idealistą, bo takimi byli jego rodzice, jego rodacy i to powietrze, którem za młodu oddychał. Czynić wszystko, co piękne, co wzniosłe, unikać zaś wszystkiego, co godność naszą poniża — oto zasada, którą od dziecka tak gorąco wyznawał, że gotów był uświęcić ją ofiarą życia własnego. Do tego, co poziome, zaliczał między innemi gonienie za fortuną na oślep.

Był oszczędny, pracowity, pieniądze cenił, wszelako do majątku chciał przyjść drogą pracy, nie zaś przypadku, a tem mniej przez sprzedanie się na targu małżeństwa. A to, co mu master Brown proponował, czyż nie było sprzedaniem własnej osoby? Na domiar złego forma kupiecka, w jakiej Anglik ze swoim zamiarem wystąpił, musiała go oburzyć.

Być może, że uczucia jego nie byłyby tak boleśnie podrażnione, gdyby dla miss Ellen miał był coś więcej, jak przyjaźń; ale ponieważ on ją uważał za dobrą znajomą, za jedną z tych, których tysiące możemy spotkać na drodze naszego życia, więc jakiem czołem ten nadęty kupiec śmiał go uważać za osobę, której nie pytamy o jej zdanie własne?

— Niech sto lat żyje, ze swemi skarbami, a miss Ellen niech sobie znajdzie męża odpowiedniejszego!

Zbyt jeszcze młody, niedoświadczony, i zbyt ufający we własne siły, Stanisław nie zadawał sobie nawet trudu zastanawiania się nad następstwami takiego małżeństwa. On chciał żony, którą by kochał, nie zaś miljonów, które mógł własną pracą zdobyć. Wszak przed pół wiekiem, ten sam master Brown był jeszcze większym, jak on, biedakiem.

W tej całej sprawie jedno go niepokoiło, mianowicie to, że miss Ellen miała dlań czuć więcej, jak przyjaźń... Ojciec dał mu nawet do zrozumienia, że swojem zachowaniem się zbudził jej serce. — Trudna rada — pomyślał — ja wiem, żem niewinny, a kiedy już tak się wszystko pogmatwało, więc najlepiej zrobię, jeżeli ztąd co prędzej odjadę... Przecie świat szeroki — nie trudno znaleźć pomieszczenie.

I nie żal ci będzie rozstać się z tem otoczeniem, z którem zżyłeś się, jak z rodziną? A miss Mary, czy nie zasługuje, byś o niej bodaj przelotną chwilę pomyślał? Prawda, miss Mary... ona taka dobra... Biedna sierota! Jakaż rozpacz przebijała się w jej głosie, gdym do wody wpadał... A potem jak drżała... Zaiste dobra dziewczyna i bardzo sympatyczna... powiedziałbym istna Polka... Szkoda, że nie jest córką mastra Brown. Wtedy nie wahałbym się ani chwili... A czy teraz dla tego się wahasz, że miss Mary nie ma miljonów? Boże chroń! lecz o miss Ellenie wiem,

że chce wyjść za mnie; gdy tymczasem miss Mary ani ja, ani nikt inny o to nie pytał. Zresztą jam biedny, cóż bym więc począł z żoną biedną... Żal mi tej sieroty... szkoda jej, szkoda!

Tak z sobą rozmawiał, chodząc po pokoiku, który miał sześć kroków w zdłuż a w szerz cztery i znajdował się pod samym dachem, zkąd był widok na miasto i morze.

Dusza różnorodnemi myślami trapiona długo nie mogła się uspokoić, i kto wie, czy znalazł by był nitkę wyprowadzającą go z labiryntu wahania i niepewności, gdyby w ubożuchnem jego mieszkanku nie zjawił się był w sam czas master Ellington, który Wybickiego miał pchnąć na nowe koleje życia.

Master Ellington był starszym rachmistrzem w kantorze pana Brown, ale ponieważ miał liczną rodzinę, płacę zaś niewielką; postanowił zatem porzucić Anglję i szukać szczęścia w Indjach wschodnich. Nadzieje jego nie były by się jednak prędko ziściły, wydatki bowiem podróży należały do trudności, których biedny rachmistrz nie mógł pokonać; gdyby przypadek nie podał mu był ręki pomocnej Oto w Londynie zawiązało się było pierwsze Towarzystwo udziałowe, które postanowiło utrzymywać stałą komunikację z Indjami. Zbudowawszy w tym celu kilkanaście okrętów parowych, i chcąc w walce z towarzystwami już istniejącemi wyjść zwycięzko, postanowiło w pierwszych miesiącach przewozić podróżnych za bezcen, aby tym sposobem zrobić sobie rozgłos i byt ustalić. Właśnie w dniu, w którym Stanisław doznał tylu przykrych wrażeń, pierwszy okręt wspomnianego Towarzystwa odpływał do Indji, a na nim, w krainę różowych nadziei miał pospieszyć master Ellington z całą swoją rodziną.

Kupiwszy sobie bilety i podziękowawszy swemu chlebodawcy za obowiązek, biedny rachmistrz przyszedł teraz pożegnać się z Wybickim.

Młody człowiek uścisnął ze łzami w oczach kościstą rękę Anglika.

— Więc nieodwołalnie pan odjeżdżasz? — zapytał.

— Nieodwołalnie!... Trudno być całe życie białym murzynem... W Indjach może się czegoś dorobię... wszak tam każdy robi majątek.

— Prawda, master Ellington, prawda — odpowiedział Stanisław, zamyślając się głęboko. A kiedy okręt odpływa? — dodał po chwili.

— Dziś o północy.

— Szkoda, że tak prędko.

— Czemu? — zapytał Anglik ciekawie.

— Bo widzisz, master Ellington, Londyn i mnie już zmęczył. Gdybym miał czas zebrać się, pożegnać kogo wypada i podziękować panu Brown za służbę, kto wie, czy razem z tobą, *sir*, nie pojechałbym do Indji.

Anglik zrobił oczy zdziwione.

— Ty byś chciał jechać do Indji, sir? A w kantorze dziś mówiono, że żenisz się z miss Elleną. Zdaje mi się, że sam master Brown wspomniał o tem dyrektorowi kantoru... Chciałem cię nawet prosić, sir, abyś zostawszy zięciem pana Brown, raczył być łaskawym dla mojego bratanka, który w kantorze zostaje.

Wybicki zatrząsł się cały z gniewu i oburzenia.

— Z miss Elleną — rzekł z udanym spokojem — mimo że wysoko cenię jej piękność i duszy zalety, nie myślałem się nigdy żenić, gdyż ona jest miljonerką, ja zaś biedakiem.

— Ależ takie małżeństwo, to szczęście prawdziwe! — przerwał master Ellington.

— Jak dla kogo... ja innem okiem patrzę na świat i życie. Być może że się mylę; lecz chociażbym najbardziej się omylił, nigdy tego nie będę żałował, że postępowałem według sumienia i honoru. Przekonasz się, master Ellington, że jeszcze dziś zobaczymy się na pokładzie.

Master Ellington wyszedł, nie mogąc zrozumieć cudzoziemca, który szczęście odtrąca, gdy ono gwałtem ciśnie się do niego; Stanisław zaś został w swoim pokoju, a usiadłszy przy biurku, wsparł głowę na dłoniach.

XI.

Żegnał miasto, w którem nie miał krewnych, bliższych przyjaciół, a jednak żal ogarniał go coraz większy... Odkąd postanowił odjechać, nie mógł sobie zdać sprawy ze stanu swojej duszy... To chciał już być na okręcie, to znów chętnie byłby odwołał słowo, które wypowiedział. Ale nie, on słowa nie cofnie, bo do zasad jego życia, od których nigdy nie odstąpił, należała także świętość słowa danego.

I rzecz szczególna! im trudniej mu było pogodzić się z myślą, że Londyn na zawsze porzuci, tem uporczywiej stawała przed okiem jego duszy, biedna Mary! I zdawało mu się, że ją widzi smutną, ze śladami łez w oczach, patrzącą nań z niemym wyrzutem. I jemu zakręciło się w oku coś, jakby łza, ale otrząsnąwszy się ze słabości, powstał by co prędzej złożyć do walizki swoją garderobę ubogą.

Gdy tej pracy dokonał, spojrzał po pokoju, westchnął, i nacisnąwszy kapelusz na oczy, wybiegł na ulicę.

W ciągu godziny odebrał pieniądze z banku i na okręcie kupił sobie miejsce, które w rzeczy samej bajecznie tanio kosztowało, bo do Kalkuty niespełna 10 funtów.

Teraz wypadało rozwiązać stosunek z panem Brown i pożegnać się z jego rodziną. Człowiek

inny, źle wychowany, nie przestrzegający sumiennie surowych wymagań honoru, byłby może wyjechał, nikomu o tem nie wspomniawszy — ale Stanisław Wybicki nie mógł tak postąpić. To też mimo że mu to przykrość sprawiało, poszedł do swego chlebodawcy. Na szczęście master Brown wyjechał był nagle do Woolwich i dopiero trzeciego dnia miał do domu wrócić. Uradowany tą okolicznością, młody człowiek napisał list bardzo grzeczny, i załączył cztery funty, jako odszkodowanie za to, że bez wypowiedzenia miejsce porzucał. List i pieniądze powierzył służącemu kupca.

Po rozstaniu się z kolegami i przełożonymi w kantorze, wypadało pójść do panien. Jak się okazało, było to zadanie najtrudniejsze...

Przeszło godzinę chodził po trotoarze przed domem, licząc kroki, palące się latarnie i przechodniów. Zawsze był odważnym — teraz odwaga całkiem go opuściła. Jaka tego przyczyna? Nie wiedział... Uderzyła ósma. Najwyższy czas — pomyślał, i mimo gwałtownego bicia serca, wszedł do domu.

W saloniku, w którym wieczorami przyjmowały go piękne damy, siedziała przy stole miss Mary, sama jedna, wpatrująca się okiem nieruchomem w książkę otwartą. Była to Biblja katolicka, którą w domu protestanckiego wuja, mis Mary, katoliczka po matce, jedynie ukradkiem mogła czytywać. Niebieskie światło lampy u góry zawieszonej, padając na księgę i na twarz czytającej, robiło z nich grupę nieskończenie piękną, godną pędzla Leonarda da Vinci. Dziewiczość była w jej twarzy — skromność w układzie jej rąk i głowy — czystość w jej spojrzeniu, lubo nieco przymglonem...

Stanisław otworzywszy drzwi, zatrzymał się na progu w niemem podziwieniu. Ona nic nie słyszała... wkrótce atoli zaniepokojona magnetyzmem wzroku, który uporczywie w nią się wpatrywał, podniosła głowę, i wtedy z jej piersi wyrwał się lekki okrzyk.

— Przepraszam panią najmocniej — przemówił młody człowiek — że natrętnie przerywam jej samotność. Sądziłem że zastanę panie obie...

— Ellen jest cierpiąca — szepnęła dziewica.

W rzeczywistości, mis Ellen nie była cierpiąca, lecz dowiedziawszy się od ojca, że tego dnia mówił ze Stanisławem Wybickim o ich związku, uznała za stosowne nie pokazać się wieczorem młodemu człowiekowi, aby niepewnością podsycić tę miłość, o której gorących płomieniach dla siebie ani chwili nie wątpiła.

— W takim razie — rzekł Stanisław głosem drżącym i jakby wahając się, czy dalej mówić — w takim razie, tylko panią jedną...

Urwał.

Miss Mary podniosła się i okiem zaniepokojonem wpatrzyła się w mówiącego.

— Co chcesz powiedzieć, sir! — zapytała.

— Tylko panią jedną będę mógł pożegnać.

— Pożegnać? — A dokąd jedziesz, sir?

— Do Indji...

— Do Indji? — powtórzyła dziewica. Co to znaczy, sir?

W jej głosie, w oczach i w całej twarzy malowało się największe zdziwienie, zmięszane z najwyższym niepokojem.

— Tak jest, odjeżdżam do Indji, gdyż dalszy mój pobyt w tych stronach jest niemożliwy. Wierz mi, pani, odjeżdżam, bo mi tak honor nakazuje.

— A Ellen? A mój wuj? — szepnęła mis Mary.

— Właśnie przez nich Londyn opuszczam — odrzekł Wybicki — a ponieważ nie chciałbym, aby mój odjazd ulegał błędnemu tłumaczeniu, więc pozwolisz mis Mary, że cię zapoznam z mojemi myślami i uczuciami.

Rzekłszy to, młody człowiek usiadł obok pięknej dziewicy, i powoli, ale głosem stanowczym zaczął wyłuszczać powody, które go zmuszały do wyjazdu

XII.

Miss Mary słuchała, z głową zwieszoną, blada, niby drżąca, niby pomięszana; w miarę atoli jak on przed nią swoje serce odsłaniał, twarzyczka pięknej dziewicy ożywiać się zaczęła, a gdy dobitnie wypowiedział, że nie byłby się nigdy sprzedał na targu małżeńskim, jakby ze snu zbudzona, szybko się podniosła, a biorąc go za rękę, zawołała z okiem rozognionem:

— Nie omyliłam się, sir, nie! Ja cię zawsze uważałam za szlachetnego... Dzięki ci za to, dzięki!

Stanisław spojrzał na nią zdziwiony, a gdy oczy jego zbiegły się z jej źrenicami, ostatnie słowa, które chciał wypowiedzieć, zamarły mu na ustach. Patrzył też na nią długo, bardzo długo i rękę drobną trzymał w swojej dłoni, lękając się, by rozkoszne wrażenie nie uleciało, jak senna mara, żal za sobą zostawiając.

— Tak, miss Mary — rzekł po niejakim czasie — nie mogłem ożenić się z osobą, której nie kochałem. Kłamać miłości nie umiem i nie chcę.

— O, to pięknie, sir, pięknie! Więc są jeszcze ludzie, którzy nie wszystko mierzą łokciem i na funty ważą, dla których *biznes* nie jest jeszcze Bogiem! Jam Irlandka, sir, Irlandka z cierpień i przekonań, ja zimnych Anglików nie rozumiem, i dla tego słowa twoje tak mnie zachwyciły. Z miłości podjąć najcięższą walkę z losem, pójść do więzienia i na rusztowanie, to rozumiem, ale

nie pojmuję, jak dobrowolnie można życie swoje do życia drugiego przykuć takim łańcuchem, którego ciężar ciało nam kaleczy, a pobrzęk wiecznym jest wyrzutem!

Stanisław czuł, że w sercu robi mu się na przemian zimno i gorąco.

— Czas uchodzi — przemówił — a mnie coraz ciężej pożegnać ciebie, mis Mary. Zaiste sam nie wiem, co mi jest...

— To zostań, sir, zostań!

— Zostać nie mogę... ale jeżeli nie boisz się burz życia, jeżeli ufasz człowiekowi honoru, jeżeli czujesz, że go uszczęśliwisz i sama będziesz szczęśliwą, jeżeli nareszcie nie masz nikogo, ktoby po tobie płakał i za kim ty byś płakała, to jedź ze mną!

Jakim to się stało przypadkiem, że Stanisław tak nagle, tak wielkie powziął postanowienie — zaiste sam nie wiedział. Kość była rzucona... Gdy wchodził do tego salonu, bicie serca mówiło mu, że ta piękna, blada dziewica, nie jest mu obojętną; gdy zaczął ją żegnać i głos jej usłyszał, serce uzupełniło resztę, dodając, że ją kocha...

A ona? Ona bardziej pobladła, a ukrywając głowę na jego piersi, cicho zapłakała. Wszak ona kochała go od tak dawna!

W godzinę później, nad brzegiem portu zatrzymał się kryty powóz, z którego wysiedli: mężczyzna i kobieta Dwie małe walizki stanowiły całe ich mienie.

Na pokładzie okrętu odpływającego do Indji, master Ellington cofnął się na widok Stanisława Wybickiego, prowadzącego pod ramię damę młodą i piękną. Zdumienie Anglika było jeszcze większe, gdy nazajutrz Wybicki poprosił go na świadka.

Przed misjonarzem katolikiem, który płynął do Birmanji, młodzi ludzie związani stułą przyręgli sobie wieczną miłość — a master Ellington, widząc to, nie mógł długo wyjść ze zdziwienia.

Bo czy słyszał kto w Angli, by młody człowiek, nie mający majątku, porzucał pannę miljonową, z którą mógł mieć życie spokojne, a uwoził i żenił się z panną ubogą, z którą go czekały trudy i ból? (C. d. n.)

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Widać było całe miasto, z morzem dachów, port z mnóstwem okrętów, srebrzyste nurty rzeki połyskiwały do słońca, jakby łuska węża olbrzyma; jak oko zasięgnąć mogło, domki, pałacyki rozsiane były w koło miasta, a w dali zamykał widnokrąg bór odwieczny, który tu niegdyś panował samowładnie, a dziś w znacznej części ustąpić musiał z swych siedzib odwiecznych ludzkiej pracy, ludzkiemu przemysłowi.

Na co patrzał Forest z takiem zamyśleniem głębokiem? Czy przypomniał sobie ów czas, gdy w tej puszczy odbiło się pierwsze echo jego siekiery? Czy patrzał z dumą na miasto, które głównie jego przedsiębiorczości swoje istnienie zawdzięczało? Czy żal mu było to wszystko tak rychło opuszczać? Nagle wstrząsł się, jakby nim targnął ból straszny, i upadł bezsilny na poduszki. Zaniepokojona córka pochyliła się nad ojcem, chcąc go ratować, lecz nie był to zwykły atak jego choroby.

— Gdy zobaczysz Francję, Jenny, gdy usłyszysz szum mojej rzeki rodzinnej, pozdrów je odemnie! ó, pozdrów moją rzekę, moją drogą Francję!

— Czyś ty kochał kiedy Francję, mój ojcze? Mnie nauczyłeś prawie jej nienawidzieć.

Forest milczał długą chwilę, usta mu drżały, wreście dwie ciężkie łzy, jakby wyciśnięte wewnętrznym, długo tajonym bolem, stoczyły się po twarzy.

— W ojczyznie mojej nie zaznałem nic, prócz nędzy! — mówił chory z dziwnem u niego i niepojętem rozczuleniem. — Byłem prześladowany, więziony, wreszcie wypędzony! Ziemia rodzinna odmawiała mi nawet chleba codziennego dla mojej rodziny! Ameryka przeciwnie dała mi wolność, bogactwo, zaszczyty — a jednak, Jenny, oddałbym chętnie to wszystko, wszystko! gdybym mógł przynajmniej na mojej ziemi umierać!

Czuć było w tych słowach taką boleść serce rozdzierającą, wybuch uczucia dotąd tłumionego, był tak gwałtowny, że córka cofnęła się przed nim przerażona. Ta nieszczęsna tęsknota za krajem! Matka na nią umarła, lecz ona była kobietą czułą, nerwową, słabą! Ależ ojciec, ojciec, ten dumny, energiczny człowiek, który tak zupełnie zerwał wszelkie stosunki z krajem, wyrwał z korzeniem z serca wszelkie o kraju wspomnienia, zdawało się, że zakamieniał niejako w nienawiści dla kraju, do przybranej zaś ojczyzny przywiązał się całą duszą, poświęcał jej dobru czas, myśli, pracę swoją! Chwila śmierci dopiero wydała tajemnicę, tak starannie ukrywaną — nie stłumił, nie pokonał tamtej pierwszej miłości. Była ona silniejszą, niż wszelkie inne uczucia, i jego mężkie serce zamierało powoli w tęsknocie, w żalu nieutulonym do Francyi, do ziemi rodzinnej!

Jenny osłupiała wobec uczucia, którego nie rozumiała i sercem nie podzielała. Widziała w niem, jakby widmo zagrobowe, które jej rodziców wydarło, lecz pojęła w tej chwili, że mimo całej pozornej niezgody, ta miłość silnie rodziców łączyła, a przeciwnie ich własne dziecię, robiła prawie obcem dla nich, tak jak jej sercu obcą była miłość dla Francji. Przerażona, niema, patrzała na chorego, który leżał teraz spokojnie, z oczyma przymkniętemi, z ustami zaciśniętemi, zdawało się, że usypia. Córka wiedziała, że w takich chwilach nawet jej obecność drażni ojca; spuściła więc firanki i znowu zapanowała głucha cisza i ciemność w pokoju chorego.

II.

— Trzeba przyznać, że introdukcja zachwycająca! Ta tyle sławiona Loara przyjmuje nas rozkosznie! Wylądowujemy — deszcz i mgła! dopiero ziemię zobaczyć

można, gdy się na niej nogę postawi. Bawimy w Brest dwa dni, chcąc coś z tej sławnej Francji zobaczyć — istny potop! ani nosa wyściubić na ulicę! Jedziemy wreszcie do tego nieszczęsnego miasteczka L* — znowu dla odmiany mgła i deszcz!! I jeszcze znaleźć się wśród tego potopu, w takiem rozpaczliwem położeniu, w jakiemś miejscu, ile się zdaje, bezludnem! A, mam już dosyć tego lubego kraju; za tych dni kilka dokuczył mi dostatecznie! Nie pojmuję, miss Jenny, jak możesz to wszystko przyjmować z taką zimną obojętnością!

Trzeba przyznać, że położenie, które pana Atkinsa przyprowadziło do tak żywej niecierpliwości, nie było do pozazdroszczenia.

Wóz pocztowy, na wpół przechylony, stał nad rowem, ze złamanem kołem; mgła gęsta na trzy kroki nic dojrzeć nie dozwalała; deszcz cichy, ale nie mniej przenikający, lał bezustannie; konie odprzęgnięte stały, smutno łby zwiesiwszy; a co do pocztyljona, ten stękał i jęczał żałośnie, mając głowę chustką obwiązaną, nogę zaś także mocno stłuczoną, obiema rękami mocno podtrzymywał. Nawet z rowu ruszyć się biedak nie mógł. Jenny, stojąc obok powozu, z najzupełniejszą rezygnacją, wzruszyła tylko ramionami.

— Nie będziemy przecież stać tak wiecznie na tym deszczu! — zawołał znowu Atkins gniewnie — przynajmniej pani tak zostać dłużej nie możesz! Nasz woźnica, o ile mnie się zdaje, nie jest znowu niebezpiecznie skaleczony; utrzymuje on, że miasto L* jest ztąd zaledwie o godzinę drogi oddalone. Najlepiej będzie dójść tam pieszo, a ztamtąd przysłać mu jakąś pomoc.

— Samego zostawić nie możemy — odpowiedziała spokojnie, ale stanowczo, jak zawsze Jenny; — krew dotąd mu z głowy płynie, może zemdleć ponownie, pan więc z nim zostać musisz, a ja będę próbowała dostać się jak najprędzej do jakiegokolwiek miejsca zamieszkałego.

— Sama jedna w obcym, nieznanym kraju, przy tej mgle, która może zaprowadzić panią prosto do tej zaklętej rzeki, mruczącej z daleka jak niedźwiedź, ale której dotąd dojrzeć nie można było. Nie! na to ja przecież pozwolić nie mogę!

— Nie boję się niczego — odrzekła Jenny tonem decydującym, w którym czuć było, że i Atkins nie ma na nią wpływu najmniejszego i nie myśli czekać na jego zezwolenie. — To zresztą jedyne, co zrobić możemy.

— Ależ miss Jenny, racz się na miły Bóg zastanowić! Gdyby chciało pojawić się jakie żywe stworzenie! Ach, przecież ktoś idzie! Na słówko, sir, jeżeli łaska.

Ostatnie słowa były po francusku wymówione, lecz z dodatkiem angielskiego „sir“ i z tak silnym akcentem cudzoziemskim, że nadchodzący odpowiedział od razu w języku angielskim, najczystszą wymową.

— Co sobie życzysz, sir?

— No, dzięki Bogu! To prawdziwy dżentelmen — mówi po angielsku! — zawołał Atkins uradowany, zwracając się szybko ku nieznajomemu, którego głos cichy, lecz miłego brzmienia, dawał się słyszeć, gdy postać zaledwie słabo rysowała się na tle mgły gęstej.

— Mieliśmy wypadek z powozem, koło złamane, pocztyljon ciężko ranny, a my tu zupełnie nieznani, obcy. Śmiałbym pana zapytać, czy nie idziesz przypadkiem do L*?

— Właśnie.

— Proszę więc o przysłanie nam z tamtąd jak najrychlej pierwszego lepszego wozu, i jeszcze jedno! Raczysz pan wziąć pod opiekę tę oto młodą lady.

Nieznajomy, który przy pierwszem poleceniu skinął uprzejmie głową potwierdzająco, przy drugiem cofnął się o krok w tył, z widocznem przerażeniem.

— Jakto? tę młodą lady? mam ja...

— No, tak, odprowadzisz ją pan do domu, który ci wskaże. Miss Jenny, możesz pani śmiało zaufać temu dżentelmenowi, mówi wybornie po angielsku. Dłużej nie podobna, abyś pani stała bez ruchu, na ten deszcz narażona.

Jenny, która dotąd obojętnie rozmowy słuchała, spojrzała na nieznajomego, narzuconego jej na towarzysza. Miał on twarz bladą, szczupłą, o rysach pięknych i regularnych. Oczy duże, jasno niebieskie, zwykle musiały mieć wyraz zamyślenia tęsknego i roztargnienia mimowolnego, w tej jednak chwili były wlepione w mówiącego z wyraźnym przestrachem i najwyższem zakłopotaniem. Nie zostawiono mu nawet tyle czasu, żeby mógł zbadać lub przezwyciężyć te uczucia.

— Jestem panu nieskończenie obowiązany — zaczął znowu Atkins, nie czekając wcale na jego przyzwolenie. A teraz bądź pan łaskaw przyspieszyć, o ile można, swój powrót, przez wzgląd na młodą lady, i aby mnie módz uwolnić ztąd, jak najprędzej. Żegnam, miss Jenny! o rannego możesz być zupełnie spokojną, zostaje pod moją opieką. Więc do zobaczenia, byle tylko prędkiego i suchego!

Wszystkie te rozporządzenia były wydane tak prędko, gładko, z wszelką wprawdzie grzecznością, jednak tonem tak dyktatorskim i decydującym, że nie podobnem było coś innego na ten potok słów odpowiedzieć. Nieznajomy przyjął też całą tę komendę milcząco, jakby osłupiały, nie wiedząc, zkąd to wszystko spada na niego; niemem skinieniem głowy i ręki poprosił młodą damę, by za nim poszła i nie długo znikli z oczów przy pierwszym drogi zakręcie.

Nie można było rozstrzygnąć na razie, co więcej zdziwiło i przeraziło nieznajomego. Czy to prawdziwie amerykańskie sans façon, żeby oddawać pod opiekę młodą osobę, na drodze publicznej, pierwszemu, którego się napotka; czy też ta okoliczność, że właśnie jemu tę misję do spełnienia powierzono, do której, ile się zdaje, najmniej się kwalifikował. Dość, że zmięszanie i niepewność wcale nie ustępowały. Szedł dalej w milczeniu pogrążony, nie starając się wcale o jakiekolwiek zbliżenie do swej pięknej towarzyszki. Miss Jenny wytłómaczyła sobie zupełnie inaczej jego nieśmiałość. Przyzwyczajona w Ameryce być zawsze otoczoną; przyzwyczajona, że tam prawie na wyścigi jej usługiwano, do czego zresztą każda dama może sobie rościć prawo w Ameryce, każdy bowiem dżentelmen poczytuje sobie za święty obo-

wiązek być dla dam, choćby zupełnie nawet obcych, gotowym do wszelkich usług; nie mogła darować swemu towarzyszowi, który sądząc z wykształcenia, był też dżentelmenem, że tak mało ceni sobie zaszczyt, jaki go spotkał, i ani jednem słowem dotąd nie odezwał się do swej towarzyszki. Mierzyła go impertynencko raz po raz wzrokiem piorunującym, zacisnęła gniewnie usta, postanowiwszy także przez całą drogę nie odezwać się do niego.

Szli tak, milcząc, z dziesięć minut, jedno obok drugiego, gdy nagle jej towarzysz zatrzymał się, pytając tym samym głosem cichym a sympatycznym:

— Gościniec w tem miejscu tworzy wielkie koło. Czy mogę panią poprowadzić ścieżką o wiele bliższą, którą zwykle sam chodzę?

— Oddałam się zupełnie pańskiemu przewodnictwu — odpowiedziała Jenny zimno i krótko, na co nieznajomy, skłoniwszy się znowu w milczeniu, skręcił na lewo.

Drożyna, którą szli teraz, mogła jeszcze od biedy służyć mężczyznie, dla kobiety jednakże była prawie niemożliwą.

Kręciła się ona w pośród pól oranych, łąk miejscami pełnych wody, i mnóstwo płotów żywych ją przecinało, z których teraz woda obficie spływała. Elegancki strój żałobny miss Jenny, niszczył się najokropniej. Był on przeznaczony do wygodnej karety podróżnej, nie zaś do takiej przechadzki, jakiej obecnie używała. Lekka zarzutka tak samo jej nie osłaniała przed deszczem, jak buciki cienkie a eleganckie, nóg nie chroniły od błota. Przemokła do nitki, podczas gdy jej towarzysz obwinięty cały w szal gruby i ciepły, nie czuł może nawet szkaradnej wilgoci, bo wcale nie myślał jej go ofiarować. Trzeba jeszcze dodać, że wziął dosłownie prożbę pana Atkins'a o pośpiech. Nie szedł, lecz gonił krokiem podwójnym, tak, że Jenny tylko z największem wytężeniem mogła za nim nadążyć. Każda inna kobieta byłaby z góry oświadczyła, że taki chód jest nad jej siły. Miss Forest była na to za dumną. Chciała istotnie posłać jak najprędzej pomoc tak potrzebną pozostałym, zresztą nie była przyzwyczajoną do skarg niewieścich i wahania się w czemkolwiek. Wyciągała też energicznie nóżki z gęstego i głębokiego po kostki błota, które okazywało wielką ochotę zatrzymać jej buciki na zawsze; szła odważnie w dość już wysoką trawę, deszczem przesiąkniętą, zrywała co chwila z płotu zaczepiony o jego ciernie swój welon czarny; wreście po kwadransie takiej gonitwy, stanęła z wyrazem ponurym, jak chmura gradowa.

— Chciej pan się zatrzymać... muszę chwilkę odpocząć.

Te słowa wymówione tonem najostrzejszym, wróciły niejako przytomność nieznajomemu. Uczuł, ile był bezwzględnym i nieuważnym; spojrzał z przestrachem na młodą osobę, powierzoną jego opiece, która stała, drżąca ze zmęczenia i bez tchu prawie, opierając się lekko o płot z bzu dzikiego.

— Daruj pani! Zupełnie zapomniałem, że... — tu urwał coraz więcej zmięszany — ja... ja... doprawdy nigdy nie chodziłem z paniami i nie opiekowałem się niemi — wyjąkał wreście cały zarumieniony.

Jenny potakiwała głową i ręką, z wyrazem drwiącej litości, jakby chciała powiedzieć: „Dawnom się tego domyśliła!" Towarzysz podróży teraz dopiero spostrzegł, w jak opłakanym stanie znajdowała się cała jej osoba.

— Mój Boże! Pani przemokłaś do nitki! — zawołał z niepokojem, a spojrzawszy w górę, dodał, jakby się dziwił temu: — Zdaje mi się, że deszcz pada!

— A i mnie się tak samo zdaje — odrzekła Jenny z ironią gryzącą, która jednak uszła uwadze nieznajomego, bo w tej chwili wodził oczyma, jakby szukał czegoś. Stali oboje o płot oparci. Płot był wprawdzie na wale z ziemi posadzony, ale wszystko było tak rozmokłe od deszczu kilkodniowego, że i wał, zwykle twardy, przedstawiał teraz tylko masę błota miękkiego. Jednakże widok ten nie wstrzymał nieznajomego; zrzucił szybkim ruchem szal z ramion, rozścielił go starannie na wale i znowu niemym gestem, zaprosił Jenny, żeby na nim usiadła.

Jenny wypatrzyła się na niego. To już przechodziło wszelkie wyobrażenie! Ten człowiek, który patrzał pół godziny z krwią najzimniejszą, jak ją deszcz cała przenikał, i nie dał jej szala, mogącego ją ochronić od zimna i wilgoci; teraz rzuca ten sam szal w błoto, żeby ona na nim spocząć mogła kilka minut. W życiu nie zdarzyło się jej spotkać kogoś równie śmiesznego i niepraktycznego. W spojrzeniu nieznajomego było jednak tyle uczucia, taka serdeczna choć niema prośba o przebaczenie dawniejszej bezwzględności i niegrzeczności, że Jenny mimowoli prawie usiadła po pewnem wahaniu, nie chcąc odmówić zaproszeniu.

Pierwszy raz spojrzała z całą uwagą na swego towarzysza, który stał tuż obok niej. I on także był zmęczony i rozgrzany nad miarę szybkim chodem, zdjął więc kapelusz i chłodził czoło spocone, wodząc ręką po włosach i w górę je odrzucając. Bujny, jasny włos, okalał czoło rozumne; rysy były piękne i regularne, ale pokryte bladością chorobliwą, przeźroczystą prawie, niemęzką. A do tego te duże niebieskie oczy, takie tęskne, marzące; w jakąś dal zapatrzone, tak zupełnie oderwane od tego tu padołu, zdające się nie mieć z nim nic do czynienia i nie zwracać najmniejszej uwagi na wszystko co ziemskie, a gonić jedynie za jakiemiś ideałami po stropach niebieskich — te oczy uderzyły i wzbudziły pewne zainteresowanie się niemi w młodej osobie. Tak były niepodobne do jej wzroku zimnego, jak stal, dumnego a energicznego.

W około mgła zaczęła opadać, odkrywając powoli wierzchołki drzew i krzaków, i zwieszając się na nich, jakby żagle rozpięte tu i owdzie z jakiejś gazy srebrzystej; gdzie niegdzie przebijał już błękit nieba, deszcz ustawał, na różnych punktach widnokręgu coś błysło, coś się wynurzyło, jak cienie tajemnicze z poza szmat mgły, coraz więcej na części poszarpanych. Cała natura zdawała się budzić po śnie zimowym; wciągała w siebie niejako każdą kroplę pierwszego deszczu wiosennego z rozkoszą niewypowiedzianą. Ziemia, trawką młoda, pączki listków na krzakach, które już zielenić się poczynały, wszystko wydawało woń upajającą, cudowną.

Do tego szmer głuchy i tajemniczy rzeki, której dotąd nie można było zobaczyć, wszystko to tak dziwnie na Jenny działało. Serce jej ścisnęło się jakiemś uczuciem zupełnie jej dotąd nieznanem; położenie, w którem się znajdowała, wydało się jej tak niezwykłem, nienaturalnem, dręczącem, że zapragnęła wyrwać się jak najprędzej z tego koła zaczarowanego.

— Czy tam rzeka płynie? — zapytała, wskazując na mgłę u dołu.

— Tak, Loara — jesteśmy nad jej brzegami.

I znowu milczenie. Miss Forest zerwała z niecierpliwością gałązkę bzu, którą już pierwsza wiosenna zieloność pokrywała, patrzała na nią krótką chwilę z roztargnieniem i rzuciła na ziemię.

Nieznajomy schylił się prędko, podnosząc gałązkę; Jenny znowu ze zdziwieniem na niego popatrzyła.

— Pierwsza zieloność, pierwsza wiosny zwiastunka — rzekł cicho i nieśmiało — żal by mi jej było, gdyby tak miała zginąć marnie, w błoto wdeptana.

Uśmiech ironiczny zaigrał na ustach Jenny. Jakże to czule! Ale cóż się to dziwić? Wszak jest w Bretanji, w krainie marzycieli. Niezadowolona, podrażniona, uważając to podniesienie, jakby wyrzut jej zrobiony, choć niewypowiedziany, wstała i oświadczyła tym samym zimnym tonem, że już odpoczęła.

Nieznajomy w tej chwili iść zaczął. Jenny rzuciła okiem na szal w błocie leżący. Ponieważ właściciel zdawał się na niego nieuważać, Jenny uznała, że nie warto mu przypominać. Szli więc dalej w milczeniu, jak dawniej, teraz jednakże towarzysz jej szedł wolniej, oglądając się niespokojnie, czy Jenny za nim nadąża. Znowu kwadrans upłynął, gdy przed idącymi zarysowały się w mgle kominy, dachy i wieże, a nieznajomy odwróciwszy się do swojej towarzyszki, grzecznie zapytał:

— Jesteśmy w L*; dokąd mam panią odprowadzić?

— Do domu dr. Etienne.

Stanął zdziwiony.

— Do dr. Etienne?

— Tak, znasz go pan?

— Doskonale! mieszkam nawet w tym domu. Teraz zaczynam sobie przypominać — tu pociągnął ręką po czole — tak! coś słyszałem, że tam kogoś oczekują, spodziewają się jakiejś młodej krewnej, Amerykanki, czy coś podobnego...

— Tak, tak! na mnie czekają! — zawołała Jenny z niecierpliwością — i nieskończenie będę panu obowiązaną, jeżeli raczysz, o ile możności, skrócić to ich oczekiwanie.

— Jak pani rozkażesz! Proszę na prawo, poprowadzę panią drogą najbliższą przez ogród.

Jenny poszła za swoim przewodnikiem, ale wkrótce miała wszelkie prawo przekląć tę „najbliższą drogę“. Wiodła ona pomiędzy dwoma płotami i była jeszcze o wiele gorszą, niż poprzednia; błotnista była i prawie bezdenna. Uczuł to nieznajomy i zapytał po chwili głosem bardzo niepewnym:

— Znowu zapomniałem, że to droga nie dla pań wcale. Może się wrócimy?

— Zdaje mi się, że już z połowę jej przebyliśmy — odpowiedziała drwiąco i z gniewem Jenny — teraz więc wracać przecież nie warto, idźmy dalej!

Uszli jeszcze ze sto kroków i stanęli nad ogromną kałużą, zalewającą całą drogę, która zdawała się bardzo głęboką, a obejść się nie dała z żadnej strony. Nieszczęśliwy przewodnik stanął nad nią zrozpaczony.

— Tędy, pani, na żaden sposób przejść nie możesz.

— Spróbuję! — rzekła Jenny ze zwykłym spokojem i rezygnacją, stawiając śmiało nogę w błoto. Nieznajomy przytrzymał ją za rękę.

— Niepodobna! woda dochodzi w tem miejscu do kolan. Mógłbym, to jest, może raczysz pani pozwolić przenieść się na tamtą stronę?

Zapytanie było znowu bardzo ciche i nieśmiałe. Jenny zmierzyła oczami z wyrazem litości, lecz i z pewną pogardliwą miną w twarzy, tę postać, wyniosłą wprawdzie, ale nader wiotko i słabo wyglądającą.

— Dziękuję! — odrzuciła mu z wyzywającą tym razem ironią — ciężar byłby za wielki z pewnością dla pana, nie, nie potrafiłbyś go unieść.

Ton drwiący i lekceważący dziwnie podziałał na młodego człowieka, dotąd tak nieśmiałego i nie zdecydowanego. Jak dzielny rumak tknięty ostrogą, drgnął, krew mu całą strugą twarz bladą zalała, wyprostował się dumnie, ujął młodą miss w swe ramiona i jednym skokiem był już w środku kałuży. Stało się to z szybkością błyskawicy. Jenny nie miała nawet czasu odmówić. Pierwszy raz w życiu jakiś wypadek zastał ją nieprzygotowaną i potrafił zmieszać. Już chciała ruchem gwałtownym uwolnić się z tych ramion zuchwałych, które śmiały nieść ją nie pytając o jej zezwolenie, choćby się miała cała skąpać w wodzie. W tem po raz drugi spotkała jego oczy. Co było w tych jasnych, jak niebo, oczach? Czy tylko niema, błagalna prośba o przebaczenie? czy jeszcze coś więcej? — dość, że znowu dziwne uczucie ścisnęło serce Jenny, robiąc ją prawie bezwładną — uczucie niepojęte, jakby ból przenikliwy i rozkosz niewysłowiona splotły się razem i za ciasno im było w tem sercu, tak dotąd zimnem i spokojnem. Pod wpływem tego uczucia złamała się nawet wola nieugięta młodej dziewicy — spuściła powoli swoje ciemne, piękne oczy i siedziała cichutko na rękach nieznajomego, jak spłoszona ptaszyna, póki nie przeniósł jej na drugą stronę, z siłą prawdziwie męzką, o której można by istotnie wątpić, patrząc na niego.

— Proszę o przebaczenie — wyszeptał trwożliwie, jak przedtem, spuszczając lekko na ziemię swój miły ciężar, przy samej już furtce ogrodowej.

— Dziękuję! — mruknęła pod nosem Jenny, krótko i lodowato po dawnemu, otwierając sama furtkę i wchodząc do ogrodu.

Ledwo uszła kroków kilka, gdy się zjawiła przed nimi postać chuda, niezgrabna, z nogami długiemi jak na szczudłach.

— Panie profesorze! przez miłosierdzie Boskie! co też pan wyrabiasz! wychodzić na takie powietrze bez parasola. Nabawisz się pan kataru okropnego! gorączki!

śmierci! A gdzież pański szal? Na rany Chrystusowe! panie profesorze! cóżeś pan ze szalem zrobił?

Profesor z trudnością powstrzymał mówiącego, prawie z niechęcią i zakłopotaniem na bok go odsunął; widać że mu w tej chwili było bardzo niemiłem, to wprawdzie serdeczne, lecz zanadto poufałe troszczenie się jego osobą, i ta formalna indagacja z niego ciągniona i odsuwał jednocześnie olbrzymi parasol, który mu gwałtem poczciwy chłopak pchał w rękę, już przed samym niemal domem,

— Jacques! zastanów że się przecie! czyż nic nie widzisz? — tu wskazał ręką w stronę Jenny, której dotąd wcale nie uważał Jacques, zajęty w swej zbytecznej gorliwości wyłącznie swoim panem, i jego szalem zgubionym. Ta atoli zmiana dekoracji: jego pan w towarzystwie! z kobietą! było nad pojęcie, nad siły umysłowe, dość słabe ile się zdawało, poczciwego Jakóbka. Wypuścił z rąk parasol, otworzył usta szeroko i wytrzeszczył oczy na oboje w osłupieniu, które było najlepszym dowodem, że coś podobnego, pierwszy raz w życiu panu jego się przytrafiło.

Profesor znowu wyrwał go z tego stanu, wstrząsając nim lekko i naprzód popychając z tem poleceniem:

— To jest młoda dama, oczekiwana w domu państwa Etienne, idź i powiedz...

Nie dokończył profesor, gdyż na pierwsze wspomnienie o damie oczekiwanej, Jakóbek zawrócił ku domowi, w susach i podskokach niepraktykowanych. Jenny stanęła, znowu ze zdumieniem spojrzała na profesora, a wyraz jej twarzy zdradzał najdobitniej, że z tych pierwszych dwóch egzemplarzy, spotkanych na ziemi francuzkiej, powzięła o ziomkach swoich najgorsze wyobrażenie, że nawet pozwalała sobie powątpiewać, ażali u nich w głowie, jest jako tako w porządku; bo tak pan, jak i sługa wydali jej się równie śmiesznemi, równie niedorzecznemi.

(C. d. n.)

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(C. d.) 20. Września wyruszył Young w dalszą drogę, otrzymawszy pierwej tłustego wołu od Marengi na pożegnanie. „Search" ze swoją małą załogą opłynął naokół przylądek Macklear i strome podgórze, przecinające południowy kraniec Niassy na dwie połowy; i posuwał się dalej, mijając przepyszne, malownicze, na 600 metrów nad zwierciadłem jeziora położone okolice, które ze względu na swój zdrowy klimat i bujną żyzność, wybornie mogłyby się przydać na teren dla europejskiej osady.

Przy spuszczaniu się w dół Sziry, dzikie zwierzęta na brzegu i w wodzie igrające, o mało nie przyprawiły o szwank naszych podróżnych. Koń rzeczny, trafiony przez nich kulą w czaszkę, rzucił się jeszcze na statek i podniósł go w górę; byłby go nawet może roztrzaskał, gdyby nie to, że statek był cały z żelaza. Dopłynąwszy do początku katarakty Murchisona, Young kazał rozśrubować „Searcha" dla przeniesienia go dalej lądową drogą. W tym czasie podróżni nasi ledwo że nie umierali z głodu. Nigdzie nie można było dojrzeć ani jednego krajowca i zażądać od niego żywności, bo Mazitu znowu zaleli wszerz i wzdłuż cały kraj morderczemi hordami swemi.

W tej ciężkiej potrzebie, spławiany falami rzeki koń Nilowy, był dla zgłodniałej załogi prawdziwym darem nieba. Zjedzono go też prawie całego, chociaż już mocno zgnilizną cuchnął. Wreszcie, jako tragarze do przeniesienia statku gotowi, zjawili się Ajawy. Było ich 150; piękni, silni ludzie, którzy okazali się bardzo ustępczywemi, gdyż nawet od afrykańskiego warunku otrzymania zapłaty z góry, odstąpili — gdy im Young przedstawił, że jego bawełniane materje złożone są na niższym krańcu katarakty. Wśród skwaru 34° Réaumura w cieniu, wśród takiej spieki, że nie podobna było położyć ręki na stalowej płycie którejkolwiek z części statku — odbywał się marsz wzdłuż katarakty, do której krańca, Matetti, zaledwo po 4½ dniach doszli podróżni nasi. Young znalazł swoich, pozostawionych tu ludzi, w najlepszem zdrowiu, ale na wielkie przerażenie swoje przekonał się, że nie pilnowali dobrze jego materji bawełnianych, lecz pozwolili im leżeć w wodzie i gnić. Rozumie się, że okoliczność ta wzbudziła z początku wielkie niezadowolenie pomiędzy Ajawami, którzy statek, w tak ciężkich warunkach, na barkach swoich aż tu przynieśli; wreszcie jednak ci poczciwcy zadowolnili się znacznemi ilościami popsutych materji i rozmaitemi drobnostkami, które im do nich dodano.

Podczas, gdy Young i jego ludzie obozowali nad brzegiem Sziry, myśląc o prędkiem złożeniu i ześrubowaniu statku na nowo, zdarzyło im się ujrzeć żywy przykład nadzwyczajnego zuchwalstwa, z jakiem krokodyle zwykły napadać na ludzi. Jedna z tych opancerzonych jaszczurek wyskoczyła nagle z wody i rzuciła się, na jednego z czarnych, aby go pożreć. Na szczęście ten miał przy sobie nabitą strzelbę i przepędził potworowi kulę przez łeb, nim do jego nóg się przybliżył. Young podaje, jako fakt, że krokodyle swoją ofiarę najprzód ogonem na ziemię walą, a potem już leżącą rozszarpują na sztuki. Nie mniej jednak napad powyższy wszystkich zadziwił, gdyż Szira toczyła spokojne i jasne fale, a krokodyle tylko wtedy, gdy nurt jest ciemny i zamulony, na zewnątrz wody szukać pożywienia zwykły, ponieważ wtedy ryb, zwykłego swego pokarmu, dojrzeć w wodzie nie mogą.

Podróż w dół Sziry nie przedstawiała nic szczególniej interesującego. Rzeka była nader płytka, gorąco niezmierne, a nocami mirjady muskitów dręczyły śmiertelnie naszych podróżnych.

5. Listopada przybył Young do Szupanga, potem skręcił na lewo od Kongony i 1. Grudnia został przez okręt wojenny angielski dognanym. Z trudnego swego zadania wywiązał się świetnie i przyczynił się do tego, że odtąd nie mogło pozostać ani cienia wątpliwości w całej Europie, iż opowiadania Muzy i jego ludzi o zamordowaniu Livingstona wierutnem kłamstwem tylko były.

Wkrótce też miały nadejść bezpośrednie wiadomości o Livingstonie od niego samego i to z okolic dotąd jeszcze nieznanych prawie. Wedle doszłych do Zanzibaru a na wiosnę r. 1868 towarzystwu geograficznemu londyńskiemu przedłożonych listów, wiedziano, że nieustraszony podróżnik przebywa na płaskowyżynie, na północy jeziora Niassa. Z Bemby, pod 10°10' południowej szerokości, a 31°50' wschodniej długości, nadeszły pod datą 1. Lutego 1867 listy do sir Roderyka Murchisona, ówczesnego prezydenta geograficznego londyńskiego towarzystwa i do konsula Dr. Sewarda w Zanzibarze—a wraz z nimi sprawozdanie adresowane do Karola Clarendon'a. Osobiste te listy i korespondencje Livingstona oznajmiły dokładnie światu, gdzie podróżnik przebywał i jakie okolice objechał; podczas gdy go już oddawna miano za pogrzebanego pod afrykańską ziemią. W późniejszych, z jeziora Bangweolo, pod datą 8. Czerwca 1868, datowanych korespondencjach, donosił Livingstone, iż pomiędzy 10 i 12° stopniem południowej szerokości, odkrył to, co mu się zdawało być źródłami Nilu.

Wiadomości te zaprzeczyły wprawdzie w zupełności pogłoskom o zgonie jego w pobliżu jeziora Niassa i nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, że żyje i działa dalej we wnętrzu Afryki; jednakże od czasu ich nadejścia, upłynęła znowu znaczna przerwa bez jakiejkolwiek wieści o nim, którąby doszła do morskiego brzegu, lub do jego ojczyzny. Nowe pogłoski obiegać znowu poczęły, ogłaszające go za zabitego, lub co najmniej za przepadłego bez śladu. Czy zapomogi, które wysłano mu z Zanzibaru, doszły swego przeznaczenia, musiało być rzeczą całkiem niepewną; tem bardziej, iż stosunek z doktorem, jak najgorzej tylko można, był urządzony.

Znowu więc zwrócono powszechną uwagę na konieczność urządzenia nowej wyprawy, którąby z Livingstonem doszła do bezpośredniej styczności, niezbędne zasoby mu wręczyła; a zarazem, z drugiej strony, wszystkie dotychczasowe jego odkryć owoce w bezpieczne schronienie przeniosła i o jego dalszych planach nabyła zupełnej pewności.

Ostatni list Livingstone'a, datowany 30. Maja z Udszidszi wskazywał przyszłym poszukiwaczom drogę. Droga ta powinna ich była powieść śladami Burtona i Speke'go i doprowadzić do jeziora Taganjika, gdzie można się było spodziewać albo spotkania z samym podróżnikiem, lub, co najmniej, pewnych wiadomości, co do miejsca jego pobytu.

Z początkiem r. 1872 urządziło tedy Towarzystwo geograficzne londyńskie nową wyprawę w powyższym celu, która pod imieniem „Livingstone Search und Relief Expedition“ ogółowi znaną była. Poddaną została ekspedycya ta pod rozkazy porucznika Lewellyn Dawson, wiele obiecującego młodego oficera marynarki — i odpłynęła dnia 9. Lutego 1872 r. z Anglji, w celu dostania się najkrótszą drogą przez kanał Sueski do Zanzibaru.

W ekspedycji tej, oprócz komendanta i porucznika marynarki, Henna, wziął również udział Wiliam-Oswald-Livingstone, syn poszukiwanego podróżnika, który mu się urodził mniej więcej dwadzieścia lat przedtem, w pobliżu jeziora Ngami. Wszyscy na okręcie ożywieni byli najlepszą myślą i przejęci zapałem do poszukiwań, jakie wnet rozpocząć mieli.

Los jednak chciał, aby ich dobre chęci spełzły na niczem.

Właśnie bowiem, gdy ekspedycja, już we wszystko zaopatrzona i w pogotowiu do drogi w Bagamojo stała, spadła nagle równie nieoczekiwana, jak i zadziwiająca wiadomość, że Livingstone znaleziony, zdrów i zaopatrzony w nowe środki do dalszych podróży.

Korepondent gazet amerykańskich, Stanley, z którym za chwilę bliżej się zapoznamy, spełnił to zadanie, nad wszelkie wyrachowanie przedsiębiorczo, zuchwale i szczęśliwie. Porucznik Dawson na tę wiadomość nie znalazł nic lepszego do zrobienia, jak zrzygnować z powierzonej mu misji, — i wręczenie już zakupionych zasiłków dla Livingstone'a powierzyć innym rękom. Zdał komendę nad ekspedycją porucznikowi Hennowi, który znowu ze swej strony oddał ją Oswaldowi Livingstone. Na przedstawienie Kirk'a, który mu porę roku, jako zbyt niesprzyjającą, a warunki zdrowotne na wybrzeżu morskiem, jako bardzo wątpliwe, przedstawił, odstąpił i Oswald Livingstone od stale z początku powziętego planu udania się osobiście do ojca, do Unjanjembe; — i Stanley'a wyćwiczonej wybornie karawanie dostał się zaszczyt przejęcia na siebie wszystkich już zakupionych przez ekspedycję, niezbędnych dla Livingstona przedmiotów — i przetransportowania ich na miejsce jego pobytu.

Rzadko istotnie się zdarza, aby tak wielkim kosztem i z tyloma nadziejami urządzona ekspedycja, w tak smutny sposób w niwecz się obróciła, jak „Livingstone'a Search und Relief Expedition“ z roku 1872. Na porucznika Dawsona, — który zakupiwszy już wszystkie zasiłki, mając już tylko je Livingstonowi doręczyć, nigdy nie powinien był ustąpić z powierzonego mu stanowiska, którego krok podobny nie tyle tłumaczy się brakiem odwagi i stanowczości, ile raczej uczuciem pewnego rozdrażnienia, iż siły swoje miał poświęcić przedsięwzięciu, które już nie przedstawiało nic wielce zaszczytnego do zdobycia — spada za to ciężka wina; — i zasłużenie też ugodziła w niego nagana, którą komitet Royal Sociéty w ten sposób o jego sposobie postępowania sformułował: „Porucznik Dawson w tym razie okazał godny pożałowania brak zdrowego o rzeczach sądu (a lamentable error of judgement“).

Nim więc jeszcze ostatnia angielska ekspedycja w drogę wypłynęła, odważnemu podróżnikowi, jakeśmy już napomknęli, pospieszono z nieoczekiwaną pomocą z innej strony. Właściciel najbardziej rozpowszechnionego w Stanach Zjednoczonych „New-York Heralda“ p. J a m e s G o r d o n B e n n e t, własnym kosztem i w najgłębszej tajemnicy urządził wyprawę w celu poszukiwania Livingstona, i przewodnictwo nad nią swemu specjalnemu korespondentowi, H e n r y k o w i M. S t a n l e y'o w i powierzył.

Stanley jest synem ubogich rodziców — a urodził się w 1840. w angielskiem hrabstwie Denbigh w Walji. Pierwotnie nosił miano John'a Rowland. Wychowany

w domu przytułku dla ubogich, został następnie chłopcem okrętowym i jako taki przybył do Nowego Orleanu, gdzie u kupca, nazwiskiem Stanley, znalazł przyjęcie i zatrudnienie, a później nawet, dla swych zdolności i pilności nadzwyczajnej, zaadoptowanym przez niego został. Że jednak jego prawdziwie ojcowski przyjaciel zmarł bez testamentu, Stanley, pozbawiony przez śmierć jego wszelkich środków, wstąpił w czasie wojny secessyjnej Stanów do armii południowej amerykańskiej, popadł w niewolę i następnie przyjął służbę na związkowej flocie.

Dalsze jego dzieje, szczególniej zaś koleje, jakiemi się dostał po raz pierwszy do Afryki, brzmią jak fejleton; różnią się tylko od niego tą drobnostką: iż są prawdziwe co do joty.

Czytelnicy przypomną sobie jeszcze zapewne tę klassyczną propozycję marjażu, którą nieboszczyk Teodoros Abissyński, król Negrów, raczył zaszczycić królowę angielską i na którą otrzymał wcale niegrzeczną rekuzę. Angielskie wojska popłynęły do Afryki, a za niemi podążyły tłumy sprawozdawców i rysowników z rozlicznych dzienników cywilizowanego swiata. (C. d. n.)

KOŃ TRĘBACZA.

NOWELLETTA LUDWIKA HALEVY.

Gdy skończył już Jerzy opowiadanie swoje o tem, jak go ciotka jego baronowa Stilb, w dwudziestym drugim roku życia wyswatała; odezwał się jego interlokutor Paweł: Co do mnie, zostałem wyswatany przez konia trębacza...

— Jakto? spytał, śmiejąc się Jerzy. Chyba, żartujesz ze mnie? To niepodobna!..

— Zaraz ci dowiodę, że podobna, — jeżeli chcesz usłyszyć tę zabawną awanturę.

— Z całą przyjemnością, odrzekł Jerzy, zapalając nowe cygaro, i układając się wygodnie na kozetce. Nigdyś nie miał uważniejszego odemnie słuchacza, Pawle, — zaczynaj więc! Ciekawością pałam...

— Zgoda, posłuchaj... Rzecz to krótka, nie będziesz miał więc czasu zasnąć w biegu opowiadania, co jest twoim chwalebnym obyczajem, impertynencie!

— Nie burcz... zrzędo. Daję ci słowo, że dzisiaj nie zasnę, tak mnie twoje oryginalne założenie bawi.... Koń trębacza swatem! ależ to coś piramidalnego, cha, cha, cha!..

— Otóż, — zaczął Paweł bardzo serjo — zbliżałem się już do czterdziestki i tak mi było wygodnie z mojemi małemi nawyczkami starego kawalera, że z najlepszą wiarą w świecie i przy każdej sposobności przysięgałem na wielkie bogi, iż nigdy się nie zaawanturuję na niebezpieczne tory małżeńskie; mówiąc to jednak, nie brałem w rachunek konia trębacza...

Było to w ostatnich dniach Września 1864 r. Przybyłem właśnie z Baden-Baden i intencją moją było nie bawić dłużej w Paryżu nad godzin dwadzieścia cztery. Zaprosiłem czterech czy pięciu moich przyjaciół Callier'a. Bernheim'a, Frondeville'a, Valréas'a, aby raczyli do mnie do Poitou, przybyć na polowania jesienne. Przyrzekli mi wybrać się w początkach Października, tydzień więc czasu pozostawało mi do uporządkowania wszystkiego w moim zamku w la Roche-Targé — trzeba więc było się spieszyć. List od mojego koniuszego czekał już na mnie w Paryżu; w tym zaś liście przysyłał mi ten dygnitarz bardzo smutne z domu nowiny. Psy, miały się dobrze, ale z dwunastu koni do polowania, które trzymałem na stajni u siebie; pięć, podczas mego pobytu w Baden-Baden rozchorowało się lub okulało, tak że znalazłem się w absolutnej konieczności odnowienia mojej stajni wierzchowców.

W tym celu rano wybrałem się obejść wszystkich kupców na Champs-Elysée, którzy mi sprezentowali, w charakterze koni do polowania, piękną kollekcję szkap i wywłok odwiecznych. Cena zaś najniższa za konia była trzy tysiące franków. Ruleta trochę mnie zdebankowała, łatwo więc pojmiesz, że nie miałem ani humoru, ani gotówki dosyć, aby wyrzucić siedem do ośmiu set luidorów za lada co i to w ciągu jednego poranku.

W tem przypomniało mi się, że to Środa, i że Chéri odbywa właśnie dzisiaj pierwszą swoją wyprzedaż jesienną koni. Pospieszyłem tedy na ulicę Ponthieu i tam, na chybił trafił, bez zasiągnięcia bliższych wiadomości, na ślepo, opierając się tylko na samych poleceniach katalogu w którym napisano: wyborny koń do polowania, skacze dobrze — polowały na nim damy itd. itd. kupiłem ośm koni, które mnie kosztowały nie więcej jak pięć tysięcy franków. Z tych ośmiu, myślałem sobie, da się wybrać zawsze cztery lub pięć przydatnych pod siodło i na rozstawę po drodze dla przybywających przyjaciół.

Pomiędzy temi końmi. był jeden, którego kupiłem, wyznaję to, głównie dla jego maści, prawdziwie godnej podziwienia. Katalog nie przyznawał mu szczególnego uzdolnienia do polowania, ograniczał się co do niego na tej maleńkiej wzmiance: Brutus, koń wierzchowy, bez rejestru, bardzo dobrze trenowany. Był to koń wielkiej miary, siwo-jabłkowity; nigdy jednak dotąd, nie zdarzyło mi się widzieć siwego konia, piękniej jabłkowanego. Biała jego maść posianą była prawie regularnie prześlicznemi jabłkami czarnemi, symetrycznie rozłożonemi i odbijającemi się od niéj wydatnie.

Nazajutrz wyjechałem do la Roche-Targé, a w dzień po mojem przybyciu do domu, doniesiono mi o świcie, że konie z Paryża nadeszły. Wyszedłem natychmiast, aby je zobaczyć, a szczególniej Brutusa, na którego padło moje pierwsze spojrzenie. Majaczył mi wciąż po głowie ten siwosz djabelski od czterdziestu ośmiu godzin i czułem szczególną chętkę dowiedzenia się, kto on jest zacz i do czego zdolny.

Kazałem go wyprowadzić najpierw ze stajni. Masztalerz przedstawił mi go w spoczynku, nieokiełzanego, trzymanego na prostej uździenicy, w ręku. Koń miał ząb długi, kresy nad oczami wklęsłe, jabłka kolanowe nabrzękłe, — słowem wszystkie oznaki poważnego wieku, — ale zachował jeszcze potężną łopatkę, pierś szeroką, szyję i kark silne i lekkie zarazem, piękny układ głowy, ogon dobrze osadzony w krzyżu; krótko mówiąc, całą powierzchowność bez zarzutu.

Nie to jednak wszystko w nim wzbudzało najżywiej moją uwagę. Podziwiałem przedewszystkiem minę, z jaką Brutus na mnie spoglądał i ten wyraz jego oka, uważny, intelligentny i pełen ciekawości, z jakim śledził wszystkie moje poruszenia i gesta. Nawet słowa moje zdawały się interesować go osobliwie, pochylał głowę ku mojej stronie, jakby chcąc mnie dobrze słyszeć; a gdym skończył mówić, wydawał z siebie, jakby odpowiadając mi, krótkie, radosne rżenie.

Pokazano mi kolejno siedem innych koni; obejrzałem je prędko, roztargnionem spojrzeniem. Były to konie, podobne do wszystkich koni. Brutus zaś niewątpliwie, miał w sobie coś szczególnego, coś go wyróżniającego od jego współbraci. Ta okoliczność podniecała moją niecierpliwość odbycia na nim małej przejażdżki po okolicy. Dał się osiodłać, okiełzać i dosiąść, jak koń, który się zna na rzeczy i wyjechaliśmy razem, w najlepszej zgodzie, — i najspokojniej w świecie.

Wziąłem go najprzód na trenzelkę. Brutus postępował wielkim, spokojnym krokiem, niosąc kark nieco sztywno i głowę nieco ciężko; — lecz skoro mu dałem tylko uczuć munsztuk, podał mi się w rękę z szybkością i giętkością nadzwyczajną, pochyliwszy łeb aż ku samym piersiom i żując wędzidło, z wielkim hałasem — jednocześnie zaś przybrał drobny krok, lekki i miarowo w takt się kołyszący, podnosząc wysoko nogi i uderzając niemi o ziemię z regularnością wahadła.

Katalog Chéri'ego nie skłamał. Brutus był koniem dobrze ułożonym — nawet zanadto dobrze ułożonym.

Puściłem go truchta, potem galopa; koń, za pierwszem poruszeniem, poszedł natychmiast wybornym, drobnym truchcikiem i wybornym krótkim galopkiem, wciąż jednak pochylając się łbem prawie do ziemi i wyrywając mi ramiona, gdym próbował go zmusić do wyprostowania się.

Skorom zaś chciał skłonić go do spieszniejszego biegu, koń począł wlec za sobą biodra, zwlekać, słowem znarowił się. Zaczął tańczyć w wielkim stylu, kłusując przodem, a galopując tyłem. — Dobrze — pomyślałem sobie — teraz rozumiem, z kim mam do czynienia; kupiłem jakiegoś starego konia ze szkoły w Saumur lub Saint-Cyr. Zaiste, na tej bestji nie będę polował za ośm dni!

Już się zabierałem skręcić i powracać do domu, dokładnie objaśniony co do zdolności Brutusa, gdy nagle dał się słyszeć strzał o dwadzieścia kroków przedemną, pod lasem. Strzelił jeden z moich dozorców do zająca, a za ten strzał, wkrótce potem, otrzymał od mojej żony piękny podarunek.

Znajdowałem się w chwili tego strzału, akuratnie w środku małej polanki w lesie, tworzącej dokładne koło, do którego zbiegało się sześć zielonych alei.

Usłyszawszy strzał, Brutus osadził się krótko, wparł się w ziemię wszystkiemi czterema nogami, z uszami nastroszonemi, z głową na wiatr. Zdziwiłem się, widząc tego konia tak wrażliwym. Zdawałoby się, że po takiej świetnej edukacji, jaką z wszelką pewnością otrzymał w swej młodości, Brutus powinien był być koniem ostrzelanym, nawykłym do strzelby i armaty. Zbliżyłem nogi, wzywając go do biegu — Brutus ani drgnął; zaaplikowałem mu dwa uderzenia ostrogą — Brutus ani drgnął; dałem mu poczuć potężnie szpicruzgę — Brutus ani drgnął. Chciałem go cofnąć, skręcić na prawo, na lewo, nie potrafiłem go na włos ruszyć z miejsca. Brutus stał, jak wkopany w ziemię, a wśród tego — nie śmiej się i wierz, że moje opowiadanie jest najprawdziwszem — a wśród tego — za każdym razem, gdym usiłował konia zmusić do poruszenia się z miejsca, — Brutus obracał głowę ku mnie i spoglądał na mnie wzrokiem, w którym czytałem wyraźne zniecierpliwienie i zdziwienie, a potem znów zapadał w dawną nieruchomość i stawał się napowrót statuą. Widocznie zachodziło jakieś nieporozumienie między nim a mną. Widziałem to w jego wzroku. Brutus mi mówił z całym wyrazem i jasnością, jakie mógł włożyć w swoje spojrzenie: „Ja, koń, robię, com powinien, ale ty, kawalerzysto, nie robisz tego, co powinienbyś robić.“ Byłem bardziej zaintrygowany jeszcze, niż zakłopotany...

— Cóż za warjackiego konia sprzedał mi ten Chéri — myślałem, — i czemuż ten koń spogląda na mnie w taki dziwny sposób? — I właśnie już miałem wziąść się do ostatecznych środków, co ma znaczyć, że zabierałem się wsypać Brutusowi piękną porcję uderzeń szpicrózgą, gdy nagle zabrzmiał strzał drugi.

Koń, na ten strzał, podskoczył. Mając partję za wygraną i korzystając z jego rozpędu, usiłowałem go pchnąć naprzód rękami i nogami... Ale gdzie tam... osadził się krótko po skoku i napowrót wrósł w ziemię, jeszcze energiczniej, jeszcze zwiększą decyją nieustąpienia przedemną, niż za pierwszym razem. Ach! wówczas schwycił mnie gniew szalony i szpicrózga poszła w ruch; chwyciłem ją całą garścią i jąłem nią karcić konia, ze wszystkich sił, gdziem trafił...

Lecz i Brutus także stracił cierpliwość i zamiast chłodnego i biernego oporu, jaki mi dotąd stawiał, teraz spotkały mnie szalone obrony, skoki baranie, wierzgania nadzwyczajne, koziołki nie prawdopodobne, piruety fantastyczne — i wśród tej walki, podczas gdy koń rozszalały skakał i wspinał się, podczas gdy ja, w exasperacji, biłem go z całego rozmachu ręki ołowianą obsadą mojej szpicrózgi, — potrzaskanej w kawałki — Brutus znajdował czas do miotania na mnie spojrzeń, wyrażających już nie zdziwienie

i niecierpliwość, ale gniew i najwyższe oburzenie. Podczas, gdy ja żądałem od konia posłuszeństwa, którego mi odmawiał — pewną jest rzeczą, że on oczekiwał odemnie czegoś, czegom nie zrobił — a zrobić byłem powinien.

Jakżeż się to skończyło? Na mój wstyd, na moją wielką hańbę!... Zostałem najzłośliwiej wysadzony ze strzemion, za pośrednictwem nieporównanej końskiej finty. Brutus zrozumiał, sądzę, że nie poradzi ze mną gwałtem i uznał za konieczne użyć figla.

Po chwili uspokojenia się, która była niezawodnie chwilą refleksji, koń podniósł się, prosto jak świeca w górę, łeb spuściwszy na dół, cały wsparty na przednich nogach, a tylne podniósłszy w górę, ze zręcznością, spokojem i doskonałą równowagą clown'a w cyrku, chodzącego na rękach.

Tu już spór był niepodobny — spadłem na piasek, który na szczęście był w tem miejscu obfity i miękki.

Próbuję się podnieść — wydaję krzyk i padam na powrót, jak najśmieszniej, na płask, na nos. Za najmniejszem poruszeniem czułem, jak gdyby ukłucie nożem w lewej nodze. A była to drobnostka: przerwanie ścięgna; rana ta jednak choć lekka, była bardzo bolesną. (D. n.)

POGADANKA.

Ktokolwiek zasiada dzisiaj do pogadanki lwowskiej, musi najprzód hołd złożyć królowi Karnawałowi, który odbył wjazd swój do nadpełtewskiego grodu, jak Bachus do Indji, na rydwanie tryumfalnym, otoczony powabnym orszakiem uciech i rozkoszy, i wszystko już ugiął pod swoje berło. Zapowiadają się ze wszystkich stron bale i wieczorki: bal prawników, bal techników, i bal lekarzy, na korzyść wdów i sierót po lekarzach. Pomysł to bardzo piękny i dla tego bal ten ostatni, który się odbędzie dnia 6. Lutego w sali domu narodnego, gorąco polecamy naszych łaskawych czytelników a szczególniej czytelniczek uwadze, udziałowi i poparciu. Towarzystwo muzyczne zapowiada trzy wieczorki w sali domu narodnego. Wieczorki te przed kilku laty rozpoczęte i co karnawał odtąd powtarzane, odznaczają się zawsze takim doborem towarzyskim i taką harmonijną a ochoczą zabawą, iż ściągają bardzo licznych gości. Pewni jesteśmy, że i w tym roku równem powodzeniem chlubić się będą mogły. Mówiąc o balach, na jedną tylko rzecz narzekać potrzeba, na stosunkowo zbyt wysokie ceny biletów wstępu. Ceny te dochodzą niekiedy do wysokości 5 złr. od osoby. „C'est un peu chér, ma foi, pour la poche d'un bourgeois... léopolitain!“ — Slyszałem pewnego ojca rodziny, którego niebo uszczęśliwilo pięcioma córkami. Wszystkie chcą iść na jeden z przedniejszych balów. Jak się pokazało, z obliczenia wszystkich wydatków na świeże, modne suknie i resztę toalety — bal ten kosztowałby niefortunnego ojca blisko 100 złr. na sztukę. — „Ależ to stanowi 500 złr. — wykrzyknął, opowiadając mi tę przyjemną niespodziankę, nieszczęśliwy ojciec powabnych dziewic — wydawszy taką sumkę na jedną zabawę, byłbym zrujnowany; wszakże to połowa tego, co potrzebuję na ich wykarmienie i odzianie przez rok cały!“

Nie zatrzymnjąc się dłużej nad tą bolesną w ogólności dla ojców i mężów kwestyą, potrącimy tu pobieżnie o reduty teatralne i na różne cele inne np. pomocy dla stowarzyszeń akademickich i technickich, lub dobroczynne urządzane. Teatralne reduty niezmiernie się nieszczęśliwie rozpoczęły tego roku, — kompletnym brakiem masek — i zmusiły dyrekcję do niefortunnego zresztą pomysłu otwarcia dla wszystkich kostjumowanych i maskowanych indywiduów wstępu za darmo.

Rozumie się, że taki benefis wywołał znakomity skutek co do ilości towarzystwa, jakie zaległo redutowe sale — ale co do jakości!.. W ogóle reduty lwowskie odznaczają się brakiem dowcipu. Powiadają, że na jednej z nich był Diogenes z latarką, który zaczepiał jedną i drugą maskę, jedną i drugą ukostjumowaną grupę, i odchodził załamując ręce i ciężko wzdychając — a zapytany, czego tak rozpaczliwie szuka, odparł beznadziejnem rąk poruszeniem: — Dowcipne maski! — Na innej znowu reducie najdowcipniejszym miał być niedźwiedź, dlatego, że poprzestawał jedynie na groźnem pomrukiwaniu.

Na redutach zaś „dobrego towarzystwa“ schodzą się osoby po większej części dobrze sobie znajome, i choć maska daje przywilej swobody, mało z niego korzystające; ogólną więc cechą takiej reduty bywa prawie zawsze pewna pruderja i sztywność, śmiertelne wrogi każdej wesołej zabawy.

Przejdźmy teraz do teatru, któremu nowej krwi żywotnej dolał karnawał. Istotnie z prawdziwem uznaniem dla dyrekcji musimy zaznaczyć tu chlubną jej zapobiegliwość i umiejętne prowadzenie sceny, które stanowią prawdziwą epokę w dziejach teatru lwowskiego, i rozwinęły go na stopę, na jakiej dotychczas nie stał jeszcze.

Lwów posiada w tym sezonie trzy teatra przeznaczone dla różnych gałęzi sztuki dramatycznej. Dwa już miał, a mianowicie przedstawienia w teatrze wielkim, na których dawano tragedje i dramata klasyczne, i przedstawienia wieczorne, w tymże teatrze, z operą i komedją. Obecnie zaś, w sali sejmowej na sezon karnawałowy, urządzono tymczasowy teatrzyk „Rozmaitości“, w którym w niedzielę i święta, krotochwile i pomniejsze obrazki dramatyczne przedstawiają. Powiedzieliśmy teatrzyk, mało w nim bowiem jest miejsca dla publiczności — i publiczność ta jest maluczkiej jego scenki tak blisko, że widzi cały zakulisowy kunszt ucharakteryzowania artystów i traci tym sposobem wiele na efekcie, na złudzeniu scenicznem. Na artystów okoliczność ta także wkłada ciężkie obowiązki zastosowania swojej gry, głosu i ruchów do tak niezwykle bliskiego sąsiedztwa z publicznością. W wieczór sylwestrowski inaugurowano to nowe miejsce zabawy trzema komedyjkami, które serdecznie ubawiły publiczność. Teatrzyk ten byłby bardzo dogodnym dla mniej zamożnej publiczności, gdyby nie ciągłe falowanie ceny miejsc, które przy każdej nowości nieproporcjonalnie idą w górę.

W operze dyrekcja dowiodła, w ostatnich czasach, jak, przy malem podniesieniu subwencji, jakie uzyskala od sejmu, potrafi operę podnieść i świetnie prowadzić. Cztery takie talenta, jak p. Bossi, znana już tutejszej publiczności i zasłużenie obsypywana przez nią burzą oklasków; jak p. Laura Caracciolo, primadonna włoskiej opery, z przepysznym, kontraltowym, pełnym siły głosem; p. Zakrzewski, którego praca i postęp podziwem i uwielbieniem wszystkich dla niego przejmują, oraz p. Graziosi, bardzo przyjemny i użyteczny śpiewak — takie cztery talenta mogłyby przynieść operze każdej stolicy zaszczyt. Równie

udatnych przedstawień, jak „Trubadura“ dnia 5. b. m. z panią Caracciolo w partyi „Azuceny“, z panią Bossi i p. Zakrzewskim; jak przedstawienia „Aidy“ dnia 9 b. m. z panią Caracciolo w partyi „Amneridy“ dawno na scenie naszej nie pamiętamy. Ta partja ułożona na głos altowy niski, dotychczas powierzaną była mezzosopranistkom, a nieraz nawet sopranistkom. Pani Caracciolo swoim metalicznego dźwięku, głębokim kontraltem wywołała prawdziwy zachwyt w publiczności. Na najnowsze tryumfy opery wszystko się dzisiaj składa: wyborna reżyserja, świetne dekoracje, przepyszne stroje, — wreszcie wyćwiczenie wzorowe chórów, za co dzięki szczególniej panu Jareckiemu się należą. W ostatnich dniach teatr obdarzył publiczność wodewilem „Niniche“ dziełem aż trzech muzyków: L. Delibes'a, Offenbacha i Lecoqua i nieodrodnem dzieckiem tych mistrzów, znanych z lekkości swej muzyki i treści, jaką dobierają do niej. Wolelibyśmy jednak, ze względu na nasze siostry i żony, żeby dyrekcja była się wstrzymała od tego podarku.

Najnowszą nowością, jaką dawano na scenie naszej, jest 3aktowa komedja T. Barriére — p. t. „Najnowszy skandal“, w której żadnego skandalu dopatrzeć się, na jej szczęście, nie mogliśmy, — a przekonaliśmy się za to, że p. Barriére, znany już u nas z komedji „Pożar w klasztorze“, nie ma szczęścia do naszej publiczności. Niedawno grana na naszej scenie jego komedja „Droga do Damaszku“ — z forsą tylko — i to w końcu przy napoły pustym teatrze, kilka przedstawień wytrzymała.

Z teatru ześliznijmy się na „Ślizgawkę“ na Szumanówce, należącą także do ulubionych zabaw obecnego sezonu — a na której towarzystwo łyżwiarskie wymyśla najrozmaitsze cuda. I tak niedawno odbyła się na lodach „Noc karnawałowa“... przy muzyce dwóch kapel, przygrywających najulubieńsze tańce, przy uroczystem przystrojeniu ślizgawki i oświeceniu jej światłem elektrycznem oraz słońcami Drummonda. Nie brakło nawet ogni sztucznych w programie tego festynu — ani kadryla komicznego w kostjumach. Finale zabawy miał tworzyć „szalony taniec djabłów w ogniu piekielnym“. Na nieszczęście, mgła, prawdziwie londyńska, fenomenalnie tylko u nas się zdarzająca, tak gęsta, — iż o kilka kroków bystrooki wierzyciel nie poznałby był swego dłużnika — wyrządziła Towarzystwu fatalnego figla... Popsuła bowiem cały efekt oświetlenia i reszty programu — i rozproszyła przedwcześnie w massach zgromadzoną publiczność na ślizgawce i naokoło niej. Podobno towarzystwo łyżwiarskie zamierza uratować swój pomysł nową próbą tej samej czarodziejskiej nocy na lodzie i zrewanżować tym sposobem swoich członków i publiczność za zawód, którego pierwszym razem doznali.

Piękna to zabawa, ślizgawka — ale za śliska trochę! W tym względzie budujący i wzięty z rzeczywistości wierszyk, odtwarzający rozmowę córki z matką o „Ślizgawce“, podaje „Szczutek“ w fejletonie jednego ze swych ostatnich numerów.

Chcąc od tych materji lekkich i powabnych przejść do poważniejszych, — bo przecież niegodzi się tak całą pogadankę przebawić — nieprawdaż? — musimy znowu powrócić do dziedziny teatralnej i donieść, że na konkurs imienia hr. Fredry, oprócz 6ciu, zanotowanych już w naszej pogadance w 1. zeszycie „Strzechy Ojczystej“ utworów, nadesłano w ostatnich dniach następujące jeszcze komedje: 1) komedja w 5ciu aktach, p. n. „Słowa i Czyny“ 2) również w 5ciu aktach p. n. „Lekkoduch“ a z dewizą „Non credo“, 3) tylko w trzech aktach, pod tytułem „Heroina“ i dramat „Kto górą?“ niewłaściwie zaadresowany do komisji konkursu imienia hr. Fredry, ponieważ ten obejmuje w swój zakres, sądzi i wynagradza tylko komedje.

W świecie literackim lwowskim najnowszemi pojawami są: „Meteor i Warchoł“, obadwa pisma humorystyszne, i zapowiedziane przez „Szczutka“ „Dzieje Galicji“ ułożone z jego własnych notatek, — na które z ciekawością oczekujemy.

Z Warszawy, ze sfer literackich, dochodzi nas echo jędrnej odprawy danej przez skrytykowanego ostro, a zasłużonego pisarza, złośliwemu i płytkiemu Zoilowi. Odprawa ta wymownie uwydatnia obecny stan krytyki u nas.

I my, z naszej strony, gdy mowa o tem, czujemy się obowiązani do wypowiedzenia kilku uwag w tej tak doniosłej dla naszego piśmiennictwa sprawie.

Nie od dziś słyszymy skargi, na brak krytyki bezstronnej, któraby wytykając błędy autorów, podnosiła równocześnie dodatnie strony w ich dziełach i wskazywała drogę, po której mistrz nadal iść powinien. Krytykę wyczerpującą, sumienną, zastąpiono u nas recenzjami pobieżnemi, o których wiemy, jak się piszą. Dość znać jakiego redaktora i ukłonić mu się grzecznie, aby otrzymać nazwę „pisarza znakomitego“ dość znowu nie wierzyć w wszechwiedzę, w nieomylność sądu i w sumienność pana redaktora, by się narazić na naganę, lub zupełne zamilczenie. Takiej to taktyki trzyma się niestety większość pism w Galicji wychodzących. Wprawdzie lat temu kilka chciano w Krakowie złemu zaradzić, przez wydawanie pisemka ściśle krytyce poświęconego, ale „Przegląd krytyczny“ nie poparty przez kraj, jak należało, nie mogąc się odpowiednio rozwinąć, musiał upaść. Wszakże nie tylko u nas, w Galicji brak krytyki sumiennej a wyczerpującej. Na to samo skarżą się autorowie warszawscy i za granicą mieszkający. Teraz z ich głosami połączył się poważny głos T. T. Jeża, który w pierwszym numerze *Kłosów* z r. 1879, daje bardzo silną odprawę p. E. Lubowskiemu, usiłującemu w Warszawie uchwycić ster krytyki w swoje ręce. P. Lubowski, oceniając powieść T. T. Jeża „Pod obuchem“, poczynił autorowi zarzuty, które tenże zbija teraz publicznie, jako bezpodstawne a kończąc swoją długą odprawę, mówi temi słowy: „Krytyków — sumiennych i rzeczy świadomych krytyków nam potrzeba! Czyż nie posiadamy takowych? Czemuż nie występują? Czemu przy rudlu nie stają? Czemu pozwalają lada komu burmistrzować w dziedzinie, w której gospodarstwo, powinno być prowadzonem porządnie i uczciwie? Pókiż tego będzie! Krytyka, chociażby najsurowsza, jest dla literatury — dla autorów — pożądana. Ale kiedy zamiast krytyki pojawiają się napaści, oskarżenia, insynuacje, kiedy gwoli takowym odbywa się fałszowanie treści, sensu i tendencji, to postępowanie także musi budzić niesmak głęboki. Pisanie moje niniejsze jest niesmaku owego wyrazem. Długom się wahał, zanim zdecydowałem się wystąpić w obronie własnej; wystąpiwszy jednak, poznaję, iżem dopełnił powinności, zwracając uwagę na ujemną gospodarstwa naszego literackiego stronę“.

Nie wątpimy, że po wystąpieniu Jeża, p. Lubowski, który tam jest bardzo silnie zaatakowany, zechce bronić się i odpowiadać. Rozpocznie się więc polemika, dyskusja, która oby doprowadziła do pomyślniejszego zwrotu w tym kierunku. Krytyki sumiennej istotnie bardzo nam potrzeba; bez niej

bowiem młode talenta chodzą samopas i — że tak powiemy — dziko wyrastają. Ztąd błędy, których w przyszłości już się pozbyć nie mogą. Co zaś do publiczności, ta bałamucona recenzjami, traci ufność najpierw do pism, potem i do książek samych. Bo i jak tu ufności nie stracić, jeżeli dzieło bardzo chwalone w „gazetach“ okaże się później lichotą. Przeciwnie o dziełach najlepszych gazety zwykle nic nie piszą. Czekamy więc niecierpliwie; ażali z tej burzy, która zerwała się w spokojnych pismach warszawskich, nie wyłoni się coś pomyślniejszego dla krytyki, a tem samem i dla literatury. *W. O.*

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA. — WIEDZA.

— Sekretarz generalny Krakowskiej Akademji Amiejętności ogłasza następujący konkurs. Ponieważ na zadanie konkursowe ogłoszone dnia 20. paźdz. 1876 nie nadeszła żadna praca, zatem Akademja Umiejętności w Krakowie ponawia naprzód zadanie pierwotne: „Obliczyć tablice biegu planety Juno“, i oznacza termin ostateczny dla konkurentów o nagrodę za pracę na ten temat po dzień 15. Stycznia r. 1881.

Prócz tego jako zadanie nowe ogłasza: „Wyczerpujące wypracowanie biegu ciał niebieskich“ w którem sposoby te byłyby podane nietylko teoretycznie ale i praktycznie tj. z przykładami liczebnemi. Z rozprawy tej wyłączoną być może rzecz o obliczaniu przeszkód biegu, (perturbacyach) natomiast stawia się za niezbędny warunek, ażeby rzecz o drogach gwiazd podwójnych i spadających nie była pominiętą, lub pobieżnie traktowaną. Termin tego zadania ustanawia się po dzień ostatni lipca r. 1882. Prace te muszą być napisane w języku polskim i nadesłane w rękopiśmie pod adresem Akademji lub na ręce jej sekretarza w Krakowie. Najlepsze opracowanie każdego z tych zadań otrzyma nagrodę 500 złr.

— Kolonja polska w Dreźnie, w rozpoczynającym się roku jubileuszowym J. I. Kraszewskiego, uprzedziła, jak słuszna, cały kraj w złożeniu dowodu czci i pamięci znakomitemu jubilatowi. Hr. Engestrom, postarał się o wykonanie w Dreźnie sposobem światłodruku pięknej noworocznej pamiątkowej karty. Na karcie tej znajduje się u góry odrysowany widok miasta Drezna, pod nim zaś w ozdobnej ramie r. 1879 pod gwiazdą lepszej nadziei. Z lewej strony sztandar rozwinięty z napisem „Sursum Corda“ — z prawej cyfry jubilata. Pod sztandarem medaljon z wizerunkiem, a spodem, po prawej, widok willi Kraszewskiego, po lewej zaś wiersz. Girlandy z kłosów złotych, zieleni, kwiatów i ostrych cierni dopełniają udatnej całości tego światłodruku, do którego rysunek wykonał Witold Piwnicki, uczeń dawniej Juliusza Kossaka, a dziś Matejki.

Karty tej użyli Polacy w zamian powinszowań noworocznych na korzyść towarzystwa pomocy naukowej a jak słyszymy, mnóstwo już zamówień nadeszło z Krakowa, Lwowa i Torunia do szanownego jej wydawcy. Cena jej oznaczona na pięć marek.

— Matejko jest niezmiernie twórczym genjuszem. Ledwo ukończył „Bitwę pod Grunwaldem“ — a już obmyśla przedstawić „Bitwę pod Warną“ i głęboką żałością dziś jeszcze serce każdego Polaka przenikający zgon młodzieńczego, bohaterskiego króla.

— Chlebowski znakomity malarz, którego nazwisko i przepyszne akwarele zna cała Europa lepiej, niestety, niż jego własni rodacy — osiedlił się obecnie w Paryżu i pracuje tam nad wielkich rozmiarów obrazem, przedstawiającym zdobycie Konstantynopola przez Mahometa II.

— P. Julian Ochorowicz docent Lwowskiego Uniwersytetu ma zamiar, jak się dowiaduje z dobrego źródła „Gazeta Polska“ — wystąpienia w ciągu Stycznia, z dwoma odczytami w Warszawie. Treść ich stanowić będą samodzielne wynalazki albo ulepszenia takowych, dokonane przez Polaków. O ile wiemy, prelegent okaże: lofinę (ciało świecące) odkryte przez prof. Uniwersytetu lwowskiego, dr. Radziszewskiego; — telefon mikrofoniczny Rybińskiego; lampkę samozapalną i maszynkę do kawy Bodaszewskiego; maszynkę do pisania Abakanowicza; — tudzież własny mikrofon sprężynowy; jakoteż sławny a nieznany w Warszawie fonograf Edissona. Wszystkie przyrządy, nie wyłączając fonografu, są wykonane w kraju.

— W Krakowie, po śmierci Lucyana Siemieńskiego powstała myśl umieszczenia kiedyś zwłok jego w katakombie kościoła na Skałce, w której spoczywa już Długosz, a która mogłaby się stać z czasem wspólnym grobowcem dla mężów zasłużonych w literaturze, nauce i na polu sztuki. W tym celu zbierają się już składki i pieniądz ofiarny, jak słychać, dość obficie płynie.

Pomysł to piękny i godny ogólnego poparcia, to też udział w nim składkowy gorąco czytelnikom naszym polecamy.

— „Allgemeine Zeitung“, wzmiankując o przyszłorocznej uroczystości jubileuszowej J. I. Kraszewskiego wzywała i wzywa dotąd jeszcze Niemców do przyjęcia w niej udziału przez zapisywanie się na przedpłatę „Wyboru pism“ jubilata, w przekładzie niemieckim, który ma wkrótce wyjść na widok publiczny. Szczególniej zaś ta gazeta zwraca się do bibljotek, towarzystw literackich i czytelni w Niemczech, wzywając je do międzynarodowego uczczenia słynnego pisarza.

— W Nowym Jorku rocznicę śmierci Szopena obchodzono uroczystem nabożeństwem. Amerykanie, na równi z wykształconym światem Europy, czczą pamięć naszego wielkiego mistrza.

Chór amatorów i orkiestra pod dyr. p. Oborskiego przygotowywały się przez dwa miesiące do żałobnej uroczystości. Nabożeństwo odbyło się w kościele Śgo Bonifacego, przepełnionym różnonarodową publicznością.

PODRÓŻE.

— Amerykański kommodor Cheyne nie wyrzeka się swego zamiaru odbycia w nader ekscentryczny sposób podróży do bieguna północnego. W ostatnim miesiącu zeszłego roku miał odczyt w Glasgowie w Szkocji o tej podróży. Zamierza on płynąć okrętem swoim, dopóki to będzie możebnem — następnie zaś sankami odbyć część drogi — a potem trzema balonami związanemi z sobą, wedle systematu kapitana Jakobsona, za którego praktyczność wypróbowaną tenże ręczy — dostać się powietrzem do bieguna (?) Po dokonaniu zaś tam możebnych obserwacji, dwa balony odesłane zostaną na powrót, a trzecim

Cheyne będzie usiłował dolecieć do jakiej zamieszkałej części Rosji. Utworzył się już komitet, który się zajmie zaopatrzeniem zuchwałego podróżnika w fundusze niezbędne do wykonania jego projektu.

DROBNOSTKI.

— Z Londynu piszą: Mister F. I. znany w naszem mieście i renomowany dentysta dokonał pierwszej znanej operacji wyrwania zęba małpie, w pałacu Aleksandria, przy której, pierwszy też raz skutków chloroformu doświadczono na małpie. Zwierzę to liczy 12 — 15 lat wieku i jest dosyć silne. W 4 minutach, 47 sekundach po zadaniu pacjentce chloroformu, straciła zupełnie przytomność. Stan ten trwał przez 10 minut — a przez ten czas dentysta z powodzeniem przeprowadził operację zęba. Zoperowana małpa, chłodziła sobie przez pewien czas swoją kosmatą fizjonomję przy kracie, u okna — a następnie weselsza i rzeźwiejsza widocznie, wróciła do swoich towarzyszek.

STATYSTYKA.

— Ciekawy dokument, podał niedawno Kurjer Poznański Zwie się on czarnym rejestrem a tytuł jego brzmi w oryginale; „*Die schwarze Register, oder die Tabelle aller Kron- und geistlichen Güter — in dem Theile der Republik Polen, welchen das brandeburgische Haus: Südpreussen benannt hat, — und welche als Prämie verschenkt worden sind, während der Administration des Ministers von Hoym in den Jahren 1794—1798.*“

Z tego iście czarnego rejestru okazuje się, że liczba dóbr poskich koronnych i duchownych, rozdarowanych w nagrodę(?!) Niemcom, w owej epoce, w przeciągu lat czterech, wynosiła na obszarze ówczesnego nabytku Prus 241 majątków, co znaczyło wtedy 200,000.000 talarów. Ztąd to pochodzi w Księstwie Poznańskiem tak rychłe pojawienie się niemieckich właścicieli dóbr.

Wydana obecnie w Poznaniu książka p. Ludwika Żychlińskiego p. t. „Ile naszej gleby,“ stanowi smutne dopełnienie owego starego dokumentu. P. L. Żychliński przychodzi w niej po długim obrachunku do przerażającego rezultatu, że kiedy przed trzydziestu laty tj. w r. 1848 większa własność polska przewyższała niemiecką o 1,370.756 morgów, dziś własność większą polską przechodzi niemiecka o 1,952.177 morgów. To znaczy, że, w ciągu ostatnich trzydziestu lat, wydziedziczyli Niemcy Polaków z olbrzymiego obszaru gleby, bo z 1,952.176 morgów tj. blisko 2,000.000 morgów obejmującego.

Na szczęście istnieje jeszcze własność mniejsza w rękach zacnego ludu w Poznańskiem i w zachodnich Prusiech i ta, jeśli nie zrównoważa, to przynajmniej znacznie pochyla ten stosnnek na naszą stronę.

BIBLJOGRAFJA.

Krauskarowa Jadwiga — Alfred de Musset, — Szkic biograficzno-literacki podług nowych źródeł. Warszawa. 1879.

Przyborowski Walery. Najazd o cześć Ojcowską. Powieść. Warszawa 1879.

I. K. Solidarność a jawność i tolerancja. Poznań 1879. 50 ct.

Zieliński W. Nowy Komenjusz, czyli pierwiastek konwersacji polskiej, francuzkiej i niemieckiej. Wydanie siódme. Warszawa — 1879. 1 złr. 25 ct.

— Złote myśli — z dzieł J. I. Kraszewskiego zebrał Stanisław Wegner, — krytycznym przeglądem dzieł jubilata opatrzył Stefan Buszczyński. Z fotodrukiem, rysunku W. Eljasza. Poznań — 1879. 1 złr. 95 ct.

Rogosz J. Choroby Galicji w latach 1866 — 1878. Podpatrzone i opowiedziane przez dubata. Serja nowa. Lwów—1879. 2 złr.

Kalendarz myśliwski.

(Styczeń.)

Ziemia śniegiem pokryta, snem ujęta. O żer trudno, więc zwierz nocami idzie po zdobycz a dzień zdradza jego tropy. Kruki szukają padliny, a do niej skrada się niekiedy ostrożny lis lub wilk żarłoczny. Jastrząb pada na drób lub na kuropatwy, tulące się pod zaspę śniegu lub w gęste zarośle. Zając, przy księżyca świetle, pomyka, kołkuje, kluczy i zrzuca ciągle w popłochu. Wszędzie pełno jego tropów, w lesie, na polu, w sadzie. Za nim sznurem ciągnie lis i strategicznie obmyśliwszy plan, zawsze prawie dojdzie zdobyczy. Myśliwy chętnie wybiega w pole ze smyczą dobrych chartów, lub do lasu, gdzie po tropach naprzód oblicza łowiecką zdobycz. Tam cisza i smętny powab w śnie pogrążonej przyrody rozlega się w około; dzięcioł tylko twardym dziobem uderza o drzewo, zaskrzeczy sójka, lub wrona, kracząc, zwołuje towarzyszki. Ryś, przyczajony w dziupli drzewa, czyha na przechodzącą sarnę, lub skacząc z jednej gałęzi na drugą, otrząsa z nich okiść; rankiem wśród mgły sunie lis z nocnej wyprawy po zdobycz, a w biały już dzień wraca wilk do kniei na spoczynek po nocnej pracy. Inna zwierzyna stale się trzyma lasu. Niedźwiedź, nie znaczy tropów swoich na śniegu, bo leży spokojnie w gawrze, w głębokim śnie pogrążony. Toż samo dzieje się z borsukiem, ale wydra, za dnia ukryta w norze, włóczy się w nocy i czasem spotyka się ze strzelbą myśliwego lub nastawionem żelazem. Przy jamach lisich i borsuczych zostawia trop swój żbik, chroniący się w nie. Dzik swobodnie leży w barłogu a z nadejściem nocy ciągnie stadem na żer, buchtując ziemię, i wiatrem szukając w niej pożywienia. Jelenie i sarny skupione w stadach stoją w gąszczach wysokiego lasu. W najgłuchsze ostępy leśne chronią się głuszce i jarząbki, a cietrzew na szerszych przestrzeniach gości. Po Trzech Królach kończą się już właściwe walne łowy. Kończy się lochanie dzików, w tej porze mięso odyńca niesmaczne, a warchlaki znękane zimą. Rogacze trudne do rozpoznania, a więc i na nie łowy ustają. Polowanie na małego zwierza trwa jeszcze do końca miesiąca, a wtedy gdy pora łagodna, rozpoczyna się parkot zajęcy. Na skórkę lisią, teraz najpiękniejszą, dybie myśliwy strzelbą, żelazem, z jamnikami, na zasadzce — również upędza się za wilkami, żbikami, kunami, tchórzami, łasicami, lub stawia sidła na kwiczoły, paszkoty i jemiołuchy.

„*Łowiec.*“

Rozmaitości.

Dzwonek Doktora. Dzwonek w każdym domu w Anglji, należy do rzeczy nietykalnych. Można by nad nim umieścić dewizę włoską „*Noli me tangere*“. Prawo karze ostro, wszelkie w tym względzie przekroczenia, szczególniej gdy ktoś niepowołany dzwoni bez potrzeby do drzwi doktora, którego spokój, jako człowieka zmuszonego poświęcać się dla dobra ludzkości w dzień i w nocy, zostaje pod wyłączną prawa opieką. Nie dawno, skazano w Cambridge na dość znaczną karę pieniężną młodego studenta, bardzo zresztą przyzwoitego, który, powracając w nocy do domu, trochę za nadto w dobrym humorze, w przystępie wesołości zbytecznej, zadzwonił do drzwi miejskiego lekarza. Nie pomogły prośby i wstawiania się profesorów za nim, nic go nie mogło od kary uwolnić. Pewien młody lekarz, turbowany w ten sposób niejednokrotnie, nie miał cierpliwości czekać aż mu prawo wymierzy sprawiedliwość. Złapawszy na gorącym uczynku, przy swoich drzwiach młodego lamparta ulicznego, wciągnął go za ucho do swego pokoju i tam mimo szamotania i silnego oporu chłopca, wyciągnął mu za karę... ząb zdrowiusieńki!

Z Kalifornji. W lecie r. 1877 jechał znużony podróżny przez pola “Owens Vallay.“

— „Naprzód! Naprzód! — wołał na swego muła. Mamy jeszcze sporo drogi do obozu. Ale widzę rancho (gospodę) może dostanę trochę mleka“. Jeździec uderzył muła ostrogą i wkrótce stanął przed rancho. Mała dziewczynka, mająca najwięcej 9 lat, otworzyła bramę.

— Czy żołnierze tędy przejechali? — spytał podróżny.

— Przejechali i stanęli ztąd o milę.

— Czy matka twoja, dziecko, jest w domu?— zapytał znowu podróżny.

— Nie... na co mi matki w domu.

— A ojciec?

— Stary nie ma tu nic do czynienia. Rancho jest własnością pana Baxter, którego w domu nie ma, i jego żony.

— Chciałbym więc jego żonę zobaczyć.

— Ja nią jestem — dziecko odrzekło.

— Niemożliwe! — zawołał zdziwiony podróżny.

— Ale tak — upierało się dziecko — ja jestem pani Baxter.

— Ileż pani Baxter ma lat?

— Skończyłam dziewięć.

— Jeżeli mi pani zechce odpowiedzieć na kilka zapytań — rzekł podróżny, wyjmując książeczkę notatkową — dam pani dolara. Podróżny był reporterem dziennikarskim.

— Bardzo chętnie — odrzekła. — Tylko prędko.

— Proszę mi opowiedzieć jak to się stało, żeś pani zaślubiła pana Baxter.

— To rzecz bardzo prosta. Dziewcząt w okolicy prawie całkiem nie ma; Baxter potrzebował w domu pomocy, a że nie mógł zdać wszystkiego na łaskę Chińczykom, którzy tu wszędzie służbę pełnią, więc postanowił z moim ojcem, którego był spólnikiem, że się ze mną ożeni. Miałam tylko jedną siostrę, ale ta ma dopiero siedem lat. I tę chciano już poślubić, lecz matka sprzeciwiła się temu, utrzymując, że panna, poniżej ośmiu lat, nie powinna za mąż wychodzić.

— I kochasz pani swego męża? — zapytał reporter — Może być — odrzekła. — Pan Baxter obchodzi się ze mną bardzo dobrze i pozwala mi dokuczać Chińczykom, co mnie niezmiernie bawi. Ale mimo to chcę się z nim prędko rozwieść. Niedaleko ztąd mieszka jedna pani, która odemnie jest starszą tylko o trzy lata, a ma już drugiego męża.

— Pani, należysz do reguły, nie do wyjątków — reporter zauważył.

— Nie rozumiem pana — odpowiedziała pani Baxter.

— Czy w tej okolicy są jeszcze damy w pani wieku?

— Trzy albo cztery... lecz czy pan nie uważasz, że za dolara pytań było trochę za wiele?

— Masz pani rację! — odrzekł reporter, na muła siadając. — Oto dolar. Biedna kobiecina! Powiedz pani mężowi, że mu wkrótce przyszlę dziennik z ciekawemi wiadomościami. Adieu!

I odjechał.

Noga i ręka. Jakkolwiek między nogą a ręką zachodzi różnica, i my do niej nie małą wagę przywiązujemy, powinniśmy wiedzieć, że różnica ta nie jest znowu tak wielką, jak to się wydaje na pierwszy rzut oka. I tak u Malajczyków, mieszkających na Jawie, wielki palec u nogi jest tak samo ruchomy, jak u ręki, i to nietylko wskutek ćwiczenia, lecz także skutkiem dziedziczności. Chińscy żeglarze wiosłują nogą, mieszkańcy Bengalu robią nogą dywany, a murzyni chwytają się gałęzi wielkim palcem u nóg, zupełnie jak Gorilla. Nasze dzieci, zwłaszcza w pierwszych latach, łatwo chwytają wielkim palcem u nogi, a dorośli, ćwicząc się, mogą z czasem robić nogami pończochy, szyć, rysować, pisać, malować i grać na instrumentach.

Czas miłości. „Co kraj to obyczaj“ mówi przysłowie, i nie bez słuszności. Każdy naród inaczej mówi, myśli, czuje, kocha, a młodzież każdego kraju stara się w inny sposób uzyskać wzajemność. Między ludem, zwłaszcza wśród plemion słowiańskich, rozpowszechniło się mniemanie, że miłość dziewczyny lub chłopca najłatwiej przez czary pozyskać. Czarują też chłopki, jak umieją, ale najdziwaczniejszych formułek do tego, używają niektóre ludy sybiryjskie. Podajemy taką formułkę, uderzającą nadzwyczajną oryginalnością.

„Ja N. N. sługa boży, powstaję i idę od chaty do chaty, ku wschodowi, wśród blasku księżyca, w świetle księżyca Bożego, aż do niebieskiego morza, do błękitnego Oceanu.

„Nad morzem niebieskiem leży biały alabaster; pod nim leżą trzy płyty, a pod płytami trzy udręczenia i trzy jęki boleją“.

„Przystępuję i głęboki ukłon oddaję. Powstańcie trzy lube udręczenia i trzy jęki boleści. Weźcie ogniste płomienie i przenikajcie dziewczynę N. N. w dzień, w nocy i o północy, o gwieździe porannej, i gwieździe wieczornej.“

„O wy lube trzy udręczenia zasiądźcie w jej sercu, w wątrobie i płucach, w mózgu i myśli, w białem licu i jasnem oku — aby odtąd sługa Boży N. N. wydawał się jej piękniejszym niż słońce i światło, piękniejszym niż księżyc boży.“

„Ani w domu, ani na polu niech N. N. nie wyjdzie z jej pamięci.“

„Twoje słowa niech będą silne i trwałe jak kamień i stal.“

„Zamykam was na 3 i 9 kluczów. Nie przyjmuję żadnych warunków, i nie ma rozumu, nie ma podstępu, który by moje słowa odmienił.“

Wet za wet. Idzie jegomość poważny, krok za krokiem, rozglądając się po kamienicach, zwyczajnie jak próżniak, który nie ma co robić; obok niego idzie pies duży i nie mniej poważny, Buluś z imienia, który obojętnie przypatruje się przechodniom. Nagle nadbiega z tyłu jakiś elegancik we fraku, w lakierowanych trzewikach i perłowych rękawiczkach. Potrąca psa, niegrzecznie ociera się o jego pana i dalej spieszy, nie powiedziawszy nawet: przepraszam! Nie podobało się to Bulusiowi, warknął, podskoczył i eleganta ukąsił tuż obok szosy fraka. Elegant zaatakowany w sposób tak zdradziecki, krzyknął z bolu, przysiadł, a potem obrócił się i podnosząc pięść na właściciela psa, woła: „Ja od pana zażądam satysfakcji, ja ją otrzymam, muszę mieć wet za wet!

— Kiedy tak — odparł właściciel psa spokojnie — kiedy pan chcesz koniecznie wet za wet, to ja psa przytrzymam, pan zaś ukąś go w to samo miejsce, w które on pana ukąsił.“

Spryt wierzyciela. W Rochester, w stanie New-Jork, biedny Irlandczyk dłużny pewnemu bogatemu człowiekowi nie wielką sumkę, był w zupełnej niemożności zapłacenia jej. Bogaty wierzyciel zaskarżył go więc i wyjednał sobie prawo sądowego zajęcia — ale u biednego Irlandczyka w całem obejściu domowem nie było nic do zajęcia. Dwie pyszne, wielkie maciory biegały wprawdzie po podwórzu, ale tych Szeryfowi nie wolno było zajmować, bo prawo miejscowe wyjmuje wyraźnie z pod sekwestru parę świnek, jako niezbędnych do utrzymania domu. „Sprytny“ wierzyciel, którego nazwiska nowojorskie „Evening Post“ w odnośnej do tego wypadku notatce, nie wymienia — poradził sobie i na prawo.

Kupił bowiem parę chudych prosiąt i przez trzecie ręce darował je biednemu, tak hojnym datkiem szlachetnego a nieznanego mu filantropa wysoce uradowanemu Irlandczykowi — a potem zabrał mu, za pośrednictwem Szeryfa, obiedwie jego tuczne, ogromne maciory.

Treść: Złamane serca, powieść przez autora „Chorób Galicji“. — Szermierz pióra, powieść według oryginału obcego przez H. W. — Najnowsze podróże Stanley'a i Cameron'a, opracował Wł. Ordon — Koń trębacza. Nowelletta Ludwika Halevy. — Pogadanka. — Okruszyny. — Rozmaitości.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.